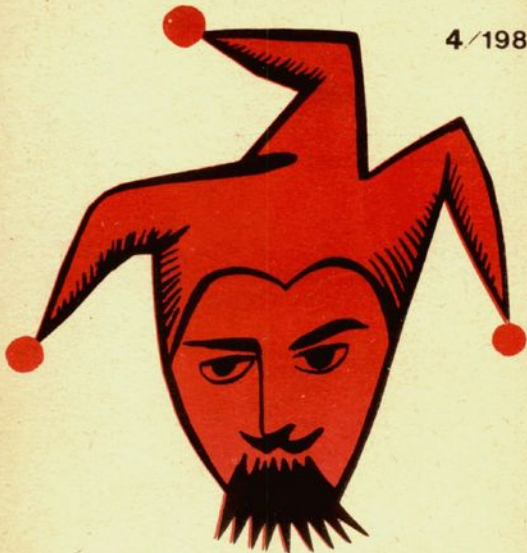


stańczyk

PISMO KONSERWATYSTÓW I LIBERAŁÓW

4/1986



Kraków - Poznań - Warszawa - Wrocław



| | |
|--|----|
| Wywiad z Józefem Mackiewiczem..... | 2 |
| Ryszard Komornicki: "Rządy Prawa czy rządy prawników?" | 8 |
| Piotr Wiersbicki: "Czterech panów" | 8 |
| AP: "Bezdroża reformy" | 9 |
| Kisiel: "Nasze zajęcia twórcze" | 13 |

LIBERO

| | |
|---|----|
| Komentator: "W Azji i gdzie indziej" | 7 |
| Janusz Korwin-Mikke "Saint Vincente 1986" | 19 |
| Juliusz Kot "Związki zawodowe - pożegnanie z legendą" | 20 |
| A.T. Bakowski "Lewica" | 25 |
| Aleksander Paszyński "Wystąpienie ..." | 25 |
| Adam T. Bakowski "Taksówkarz", "Piekarsz" | 30 |
| Z listu Juliusza Stowackiego | 31 |
| Po pięciu latach | 31 |

KONAR

| | |
|---|----|
| Franciszek Lenszyk "Trubadur współczesnego liberalizmu" | 33 |
| Władysław Halicz "Polenika" | 39 |
| Milton Friedman "Bezpłatne nauczanie" | 40 |
| Milton Friedman "Egalitaryzacja szkoły" | 42 |
| List do Redakcji | 43 |
| Władysław Halicz "Felieton" | 44 |
| Co przed nami? | 45 |
| CENZUR/KA/ | 47 |

KOLISER

| | |
|---|----|
| Rex "Myśli o nowej prawicy (I)" | 49 |
| Henryk Hazlitt "Fetysz pełnego zatrudnienia" | 51 |
| Ludwik von Mises "Kto i dlaczego nie lubi kapitalizmu?" | 51 |
| Maurycy Rojski "Pasyzm mnie przejdzie!" | 53 |
| Wągi Doktora Salazara o gospodarce | 58 |
| GIEZDA: "Propozycja dla Gen-seka" | 59 |
| "Nieśmiała propozycja" | 60 |
| Tadeusz Bernardzikiewicz "Przerosty etatyzmu" | 61 |

MOJE CREDO PISARSKIE? ...PRAWDA.

ROZMOWA Z JÓZEFEM MACKIEWICZEM



IRONISŁAW MAMON: Dlaczego Pan pisze? Dla siebie, dla kony, przyjaciół czy dla jakiegoś szerszego kręgu czytelników? Czy Pan ma swego czytelnika? Jaki on jest? Nawiązuje Pan z nim osobny kontakt poza literaturą?

JÓZEF MACKIEWICZ: Nie, nie pisze dla siebie, bo bym w takim wypadku nie wydawał książek. Nie pisze też dla kony. Moja kona, która jest moją piarunką — występując pod pseudonimem nawiązkim: Barbara Toporska — jest pierwszą lektorką moich książek. Udziela mi czasem cennych wskazówek, poprawek, w niektórych wypadkach nawet sama mi dopisuje utępy. Czasami wymyśla tytuły. Nie piszę też sensu stricte dla „czytelnika”, którego prawie nie znam. Moje książki wyszły w 8-miu językach świata. Skąd mogę tych czytelników znać? Na różnych konferencjach. Prawda? Ludzie pisali od tysięcy lat. Tu trzeba zadać pytanie co było i jest? Przepowiednia, impulsem każdego pisania? — Ostatnia książka wydana przez moją siostrę ma tytuł: „Spójrz wstecz Aljanie”. Zatrzymajmy się na chwile przy tym słówku: „spójrz”. Otóż wydaje mi się, że to „spójrz” jest właśnie przepowiednią każdego pisarstwa. Człowiek widzi cudowny zachód słońca i nie może się powstrzymać, aby nie zwrócić uwagi bliźniemu: „Spójrz, co za widok!” Słowem chce pokazać innym, co go do głębi wraża, czy porusza. Może to być rzecz piękna, brzydka, zła lub dobra.

B.M.: Później credo pisarskie. Co je wyznacza? Jakie ideaty i cnoty? Jakie obszary i datenia? Jakie miejsce w nim zajmują religia, wiara?

J.M.: Credo przewodnie. Pan pyta? Prawda. Czy coś z niej, ale zawsze prawda. Fikcja sama mnie modli. Trw. „fikcja” osób, czy sytuacji służy do uzupełniania prawdy, jaką autor widzi. Cała prawda ma tylko Bóg, ale autor odpowiedzialny jest w opisie nie tylko za to co widzi, ale i za to co widzieć świadomie przemilczy. Tym bardziej jeżeli czyni to na rożną, czy pod innym naciskiem z góry. Niezależnie od władz, czy nastroja społeczeństwa. Krajobraz, ludzie w nim, wszystko powinno być prawdziwe. Małe szczególnie interesuje człowieka na tle dokumentów historycznych.

B.M.: Napisał Pan dwie książki o Kościele katolickim: „W cieniu kryzy” — o Janie XXIII i „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy” — o Pawle VI. Pierwsza wydana dziesięć lat temu, druga — sześć. Nie były to książki mile dla tej cieżkiej instytucji. Czy daś z perspektywy pontyfikatu Jana Pawła II, wizja Kościoła rzymo-katolickiego, jego posłannictwa w świecie, zmieniła się w jakimś stopniu u Pana czy też nie. Gdyby Pan pisał dziś te książki napisałby je Pan tak samo?

J.M.: Nie były to książki o „posłannictwie” Kościoła, a raczej o tym co nazywamy potocznie polityką Watykanu. Osobiście uważam, że poli-

tyka papieża Jana Pawła II raczej pogłębiła politykę dwóch poprzednich pontyfikatów. Co między innymi dostrzegam w znacznym wysiłku co do kardynała Casaroli, spirytus mowens „polityki wschodniej” Watykanu z okresu poprzedniego.

B.M.: Znam zaledwie drobny ułamek Pańskiej twórczości. Gdzieś około roku 1960 wypadła mi w ręce powieść „Kontra”, a w kilka lat później „Lewa woła”. Gdyby miał Pan spróbować teraz przeanalizować z tych lektur, pewnie bym Panu powiedział o nich powiedział, bo już nie pamiętam dobrze wątków fabularnych, imion bohaterów, ale do dziś pozostał we mnie żywy krajobraz wewnętrzny tych postaci,

a przede wszystkim pamięć o niezwykłym w działaniu pisarstwie stosunku narratora do tych postaci — stosunku pełnym sfidacji, współczucia i współodczuwania, a także niecierpliwości, gniewu wobec zła, ciemnych sił historii. Ta pamięć oddziałuje na mnie do sfumowania tezy, że wartościowanie etyczne znajduje się w centrum Pańskiego światopoglądu pisarskiego. Czy zgadza się Pan ze mną?

J.M.: Raczej nie zgodziłbym się z Panem, że „wartościowanie etyczne znajduje się w centrum mego światopoglądu pisarskiego”. W każdym razie nie to leżało w moich zamiarach, lecz próba oddania pewnej prawdy życiowej. W tym także politycznej. Jestem z wykształcenia przyrodnikiem, jeszcze uczniem zoologa prof. Konstantego Janickiego, z Warszawy. Mogę powiedzieć o sobie, że w i e m, iż podobnie jak nie ma „złych” czy „dobrych” gatunków zwierząt, tak nie ma i nie może być „złych” czy „dobrych” narodów. Mogą nimi być tylko pojedynczy ludzie. Dlatego rozpowszechnione w naszej literaturze robienie wszystkich Niemców lub Rosjan a priori „złymi” i przypisywanie im cech ujemnych dlatego, że napadli na Polskę, jest obiektywną nieprawdą. W ciągu swego życia poznałem ludzi rozmaitych narodowości, z których bardzo wielu było bardziej wartościowymi etycznie niż moi rodacy lub, oczywiście, na odwrót. Nawet gestapowiec, czy enkawudziata, czy funkcjonariusz analogicznych formacji policyjnych wśród innych narodowości, nie musiał być koniecznie gorzy „etycznie” od pełniących analogiczne funkcje na przykład: Polaków, itd.

Czym innym jest mój stosunek do idei i systemów polityczno-ustrojowych. Tak np. do komunizmu, a go trochę do nacjonalizmu. Komunizm uważam za „zły” absolutnie, nie dlatego, że jest „nieetyczny” lub bezbożny (Lenin w liście do Gorkiego napisał: Bóg jest śmiertelnością padła, która smrodem swego rozkładu zatrąwa powietrze świata”. Nigdy tych słów nie wycofał, a obowiązuje w dzisiejszej Polsce jako „geniusz ludzkości”). Komunizm jest zły tym, że gwałtownie zaprzęga do 60 lat, stanowi największe w dziejach skrepowanie wolności ludzkiej, wytwarza nudo-

to której pisałem wielokrotnie — nie warto żyć.
Jest więc stem obiektywnym.

B.M.: Jak z okna monachijskiego widzi Pan
biełą polską produkcję literacką? Słodzi ja Pan?
Czego w niej Pan poszukuje? Czy mówi ona Panu
coś istotnego o życiu w Polsce, o jego codzien-
ności, jego klimatach duchowych?

J.M.: Z mego monachijskiego okna, że mieszkam
na parterze, widzę przede wszystkim drzewa w
barwach najpiękniejszej jesieni. I to mnie cieszy.
Natomiast jeżeli chodzi o polską produkcję literacką
w PRL, to mnie smuci. Dostaje ciągle stamtąd
książki. Ale nie wiem co jest gorsze, czy cenzura
przymusowa z urzędu, czy autocenzura piszących,
którzy chcą dostać się na półki księgarskie. Wydaje
mi się, że ta ostatnia. Jak czytam Putramenta, to
wiem, że pisze on zgodnie ze swoimi przekona-
niami, bo go znalazłem jeszcze przed wojną jako
komunistę. Jak czytam wielu innych pisarzy tzw.
„opozycjonistów”, którzy wiedzą, że to „nie
przejdzie”, więc piszą tak, aby „przelecieć”, to
znajduję lukę powstałą z ich własnej woli. Gdy się
stałem obywatelem Sowietkiej Litwy, po zajęciu
jej przez bolszewików w roku 1940, zostałem fur-
manem konnego wozu ciężarowego, aby nie mu-
sieć tego robić. Cargo można oceniać po kul-
turze w państwie komunistycznym? „Drogi doni-
kad”, którą opisałem w jednej z moich książek.

B.M.: Jerzy Stempowski, eseista, którego ogrom-
nie cenię za mądre i piękne pisanie, w listach
do p. Krystyny Marek — wydanym po śmierci
ich autora w książce „Listy z ziemi berniejskiej”
zauważył, że istnieje coś takiego jak kondycja emi-
gracyjna — kondycja nie do ponadnarodzenia. Co
to pojęcie znaczy dla Pana? Inaczej formułując
pytanie: czy czuje się Pan pisarzem u siebie czy
też pisarzem wygnanym — wygnanym z pejzażu
dzieciństwa, młodoci, z udziałem we współtworze-
niu kultury narodowej, ze świadomości czytelnik-
skiej szerokich kręgów, na które chciałby Pan
wpłynąć, apelować do nich, poruszać ich
sumienia.

J.M.: I ja też cenilem Jerzego Stempowskiego,
z którym razem dostaliśmy jedną z najwyższych
nagród literackich na emigracji. Ale nie zgadzam
się z nim w poglądzie na „kondycję emigranta”.
Czesław Miłosz, w recenzji jednej z moich książ-
tek w „Kulturze” paryskiej, napisał: „W porów-
naniu z Józefem Mackiewiczem, w Związku Li-
teratów w Warszawie nie ma ani jednego realisty.
To oni są wykorzenieni a nie on”. Może prze-

śladnie pochlebne słowa, ale do ostatniego zdania
przynajmniej się. Czuję się tu, przede wszystkim
wolny w dostępie do własnej prawdy. Trochę
ostatnio skrepowany, to prawda, odkad emigracja
przejrzała się autocenzurą narzucającą jej przez
„opozycję” w kraju. Ja wierzę, że znaczna część
tej „opozycji” wierzy uczciwie w słuszność
wykniętej przez nią linii postępowania. Ale
pożalić tej słuszności nie mogę. Nie wierzę ani
w tzw. „komunizm z ludzką twarzą”, ani w moż-
liwość poprawienia komunizmu. Ja jestem za oba-
niem komunizmu, oni — tak się wydaje — za
jego poprawieniem. Trafnie powiedział kiedyś
Stefan Kisielewski, że nie można jednocześnie
czegoś obalać i poprawiać. Tu porwotnie sobie na
dygresję: komunizm nie ma nic wspólnego z ja-
dną „Rosją”, żadnym imperializmem „rosyjs-
kim”. Największą ilość autentycznych antyko-
munistów na świecie, to Rosjanie. To są nasi
pierwsi sojusznicy, a nie wrogowie. Komunizm
to jest zaraza psychiczna, międzynarodowa, da-
jąca do opanowania kuli ziemskiej. Może być
zwalczona tylko międzynarodowymi siłami, a nie-
gdy narodowym, nacjonalistycznym patriotyz-
mem. Przeciwnie, właśnie komunizm gra, gdzie
mu potrzeba, ze względów taktycznych na różno-
rodnych nacjonalizmach i „patriotyzmach”.
Czyniąc z niego „Rosję” drziniformujemy świat
zachodni, świat wolny jeszcze.

Mówi się dużo o zbrodniach Hitlera i wszyscy
o nich wiedzą. Nie mówi się wcale o jego bezden-
nej głupocie, w której przypisywał komunizm do
Żydów, to Rosjanom, to Słowianom w ogóle,
słowem „nasie” i narodowościom. Czasem się
zadaje, ile idziemy śladami Hitlera łącząc „anty-
radzieckość” z carską Rosją. To są rzeczy nie tylko
różne, ale odwrotne.

B.M.: Nad czym Pan obecnie pracuje? Jaka będzie
najbliższa Pana książka?

J.M.: — Nie wiem, czy jeszcze coś napiszę.
Może ... jeżeli Bóg porwoli.

Monachium, w październiku 1981 r.

Rozmawiał: BRONISŁAW MAMON.

Już niebawem nakładem
OFFICYN LIBERALÓW
ukaze się książka
JÓZEFA MACKIEWICZA
«Watykan w cieniu krzyża»

Ryszard Komornicki Rządy Prawa czy rządy prawników?

Andrzejowi, Henrykowi, Robertowi

Znana powiedzka: Niczego nie brakuje, wszystko zostało przewidziane, wszystko spisane, kiedy naprawdę właśnie dlatego, że wszystko zostało przewidziane, przedyskutowane i spisane, okazuje się, że konstytucja jest niczym, jeno efemeryczną rzeczą. (Hrabia Józef de Maistre "Szkic o pierwiastku twórczym konstytucji politycznych i innych instytucji ludzkich").

Fatalna to pomyłka, jakoby wszystko dało się prawniczo przewidzieć. Życie rzeczywiste oparte jest na całkiem innych wartościach. Im bardziej szczegółowymi stają się nasze kodeksy, tym bardziej odbiegają od życia, tym więcej uprawiają niesprawiedliwości. (Felix Koneczny "Cywilizacja żydowska")

To te nierozsądna mnogość praw rzuciła a pewnych epokach cień nieprzyjazny na rzecz najszlachetniejszą w świecie, na wolność i kazała jej szukać schronienia w tem, co jest najnikczemniejsze i nikczemniejsze: w niewoli. (Benjamin Constant "O monarchii konstytucyjnej i rękodziejach publicznych").

Każdego roku mury wyższych uczelni na całym świecie opuszcza tysiące prawników. Gdyby więc istnienie Rządów Prawa zależne było od ilości prawników moglibyśmy być zadowoleni. Niestety odnosimy raczej wrażenie, że im bardziej mnożą się prawnicy tym mocniej zagrożone są Rządy Prawa. Paradoks ten da się wyjaśnić w sposób w miarę prosty. Rządy Prawa polegają na tym, że składa się ono z nie wielkiej liczby ogólnych, abstrakcyjnych, jak pisze prof. Hayek i jasno sformułowanych zasad, tworzących ramy dla spontanicznego ładu społecznego i chroniących go przed zniszczeniem. Fryderyk Bastiat ujmując rzecz następująco: "nie może istnieć w zbiorowości indywiduów żadne prawo, któreby już wprzód w indywiduach samych nie istniało"/"Harmonie ekonomiczne", Drezno 1867/. Prawo stojące na straży porządku, bezpieczeństwa i sprawiedliwości wynika z potrzeby obrony prawowitej, która przysługuje każdemu człowiekowi. Gdy jednak prawo ma jedynie za zadanie czuwać nad tym, aby szulerzy nie mogli zmać reguły gry, to cóż pozostaje do roboty prawnikom w wymiarze sprawiedliwości nie będzie potrzeba ich wtedy zbyt wielu, będą więc musieli podobnie jak lekarze, hydraulicy, pisarze itd. oferować swe usługi innym ludziom i utrzymywać się z tego. Ale klan jurystów miał zawsze o wiele większe ambicje, ambicje dzienne szkiełce z całkiem przysięganymi interesami.

Cofnijmy się w przeszłość i przyjrzyjmy się stosunkom jakie panowały w Cesarstwie Rzymskim w ostatnich wiekach przed jego upadkiem. W okresie tym nastąpił niebywały wprost rozrost władzy państwowej kontrolującej i regulującej wszystkie niemal sfery życia istniało co prawda pojęcie własności ale zostało całkowicie oddzielone od swobody kontraktu. Wprowadzono stałe ceny, upaństwowiono medycynę i oświatę /mp. edykt z 369 r. nakazywał, aby wędrowni sofisci, "wioźzgi", którym dowiedziono, że bez upoważnienia przywłaszczali charakter filozofa, byli zatrzymywani i odsyła-

ni do miejsca urodzenia, tam zaś wypełniali swoje śluzdziczne obowiązki/, rozbudowano do nieuczynanych rozmiarów aparat biurokratyczny a "śrubę podatkową" docisnęto prawie do końca. Kwitła racjonalna twórczość ustawodawcza. Edykt z 397 r. zakazywał noszenia spodni w obrębie miasta pod karą dotkliwego więzienia i konfiskaty całego majątku. W kilka lat później zabroniono ukazywać się publicznie z długimi włosami, użycie zaś skór nawet przez niewolników było zakazane w stolicy i jej okolicach. Jakże znajomo brzmi jeden z edyktów: "Jeśli ktoś świątokradczym nożem obcina winogą latorośl lub w jakikolwiek sposób zmniejsza wydajność drzew owocowych mając na celu oszukanie urzędników podatkowych i stwarzając chytrze fałszywe dowody ubóstwa, w razie dowiedzenia mu przestępstwa poniesie karę śmierci, a jego majątek ulegnie konfiskacie na rzecz skarbu".

"W ostatniej fazie swej historii, Romanitas przekształciła się w społeczeństwo, w którym teoretycznie każdy pracował, lecz nikt nie mógł powiedzieć, że pracuje dla siebie. I z wyjątkiem czynnych urzędników cesarskich praca ta polegała jedynie na gromadzeniu dochodów dla skarbu /fiscus/ cesarskiego a jednocześnie miała formę kontrybucji dla utrzymania urzędników" /Ch. M. Cochrane "Chrześcijaństwo i kultura antyczna", Warszawa 1960, str. 301/. Staliśmy to była ta nemosys, która w ostatniej fazie historii spadła na rzymskiego posiadacza. To, że państwo, które zgodnie z opinią Cyceirona powstało do obrony praw własności, przekształciło się w końcu w bezę systemu przymusowego nie spotykanego w dziejach cywilizowanej ludzkości, stanowi ponury komentarz do procesu Romanitas" /tamże, str. 302/.

Czy był ktoś, komu była na ręce prawodawca elephantiasis oraz inflacja edyktów, dekretów, zarządzeń, statutów, paragrafów, patentów i konstytucyj pętających wolność działania obywateli? Oczywiście - tak. Czytelnik domyśla się zapewne, kogo ma na myśli. Cochrane omawiając w cytowanej powyżej książce poglądy niejakiego Ammianusa pisze: "Uznano powszechnie od czasów Wergiliusza, że Wieczne Miasto zrealizowało ideał sprawiedliwości i wiecznej przez ustanowienie i utrzymanie panowanie prawa i że wypełniając w ten sposób swą wieczną misję, Romanitas znalazła swoje usprawiedliwienie w oczach prawa. Lecz - jak podkreśla Ammianus - ten, komu ofiarowano ów bezcenny dar, przyjął go jedynie po to, aby wpłacić się w system prawny najbardziej skomplikowany spośród wszystkich jakie kiedykolwiek wymyślono; stąd był potencjalną ofiarą prawników, których złowroga działalność systematycznie kaleczyła i wypaczała ideał sprawiedliwości. Niebezpieczeństwo to wzrosło ogromnie wraz z rozwojem biurokracji i usług społecznych w ciągu IV wieku i: albowiem w tych warunkach społeczeństwo cesarskie stało się nade wszystko społeczeństwem prawników. Prawnicy spełniali tłumnie szereg hierarchii cywilnej, wprowadzając doń swój charakterystyczny punkt widzenia. Działali oni w sądach we wszystkich prowincjach. Tak więc wśród niegdyś kwitnący, szanowany i pożyteczny stał się jedną z głównych plag życia ówczesnego. Dla Ammianusa, prostego i szorstkiego żołnierza, prawnicy są gwałtowną i chciwą zgrają, pędzącą z miasta do miasta, oblegającą schody bogaczy i jak rasowe psy wciągającą nawet pod drzwi gypsiaków. Wykorzystują oni niesnaski domowe, aby na nich wnieść głosch nienawiści i podejmując się odgrzebania zaś odpowiednią cenę zapomnianych praw, gwarantując uzyskanie niewiolenienia dla człowieka, choćby nawet zamordował własną matkę. Znalazłszy się raz w ich szponach, ofiara zostaje wyszana do szpiku kości bez nadziei ratunku" /tamże, str. 310/. A jakie były następstwa dyktatury prawników? co pozostało, kiedy całkowicie upadły Rządy Prawa? Walka. "gdzie

Ludzie żyją nie mając innego zapewnienia bezpieczeństwa niż takie które może im dać ich własna siła i pomysłowość. W takich warunkach nie ma miejsca dla rzemieślni, ponieważ jego owoce są niepewne; nie ma więc i uprawy ziemi; nie ma żeglugi ani użytku z przedmiotów zbytku, które można przewieźć morzem; nie ma budownictwa wygodnych siedzib; nie ma narzędzi dla poruszenia z miejsca rzeczy wymagających znacznej siły; nie ma już znajomości oblicza ziem; nie ma obrażenia czasu; nie ma sztuk; nie ma literatury; nie ma społeczeństwa; a co najgorsze ze wszystkiego, to ustawiczny strach i niebezpieczeństwo gwałtownej śmierci; i życie ludzkie jest samotne, biedne, nędzne, zwierzęce i krótkie".

Czy opisany wyżej stan walki wszystkich przeciwko wszystkim nie jestże tym samym, jaki zaplował we Francji w czasie, gdy dokonywała się w tym kraju krewawa rewolucja, gdy deptano z pogardą wszystko, co było dla człowieka najświętsze: religię, monarchię, rodzinę, sprawiedliwość, wolność i honor i gdy pijana tłuszcza wysła na ulicach Marsyliankę obnosząc na pikach głowy pomorodowanych? Edmund Burke w swym wspaniałym dziele: "Rozważania o Rewolucji Francuskiej" wyznaje: "Nie potrafię opisać mego zdumienia, kiedy odkryłem, że znaczna część zgromadzenia /zdaje mi się, większość wszystkich rzeczywiście obecnych członków/ składała się z praktykujących jurystów" /cyt. za przekładem niemieckim Fryderyk von Gentza, Stuttgart-Lipsk, 1836, str. 85/. Nie byli to przy tym, jak pisze Burke, ani szanowani urzędnicy państwowi ani ludzie będący osobą sądów ani sławni profesorowie uniwersytetów, lecz prawie wyłącznie, co jest oczywiście przy takiej ich ilości, niezbyt wykształceni wyrobnicy swego cechu. Zdarzały się, rzecz jasna, godne szacunku wyjątki - ale główną masę stanowili niezręczni adwokaci i prokuratorzy prowincjonalni, zarządcy mało znaczących prywatnych jurydykcyj, notariusze, cała armia "wyszynaczy procesów" i przewodników wielkich wojen o wiedzę. Burke stwierdza: "Od chwili, gdy przeczytałem listę, widziałem całkiem wyraźnie i prawie tak, jak to się rozegrało, wszystko, czego można było oczekiwać" /tamże, str. 85/.

Burke podaje kilka okoliczności, które spowodowały, że "rewolucja adwokatów" miała taki a nie inny przebieg. Po pierwsze juryści nie cieszyli się we Francji zbyt dużym poważaniem. Ich działań nie hamowała więc obawa przed utratą reputacji, ponieważ reputacji tej nie posiadali. Po drugie, na sposób w jaki rzadzili miały wpływ ich cechy charakteru: niestałość, wścibstwo, chytrość, prąsywczajenie do szachrajstw, skłonność do pieniatwa. Po trzecie ale oddajmy głos autorowi: "Kto choć przez chwilę mógł w to wątpić, że nie biorąc pod uwagę interesów państwa, których nie rozumie, nie skierują oni uwagi ku swym prywatnym interesom, które dobrze rozumie?" Tutaj sukces nie zależał od przypadku, od niepewnych warunków. Był nieunikniony, był konieczny: wyrastał z natury rzeczy. Ludzie tacy jak ci, musieli z radością poprzeć każdy projekt, jakkolwiek sami nie byli w stanie go wymyślić lub nim kierować, jeśli obiecywał im "prawującą się konstytucję" /proszęsiende Constitution/, jeśli przynosił im widoki na tysiąc korzystnych operacji finansowych, które są następstwem wszystkich wielkich konwulsji państwa a szczególnie wszystkich znacznych i gwałtownych przemian stosunków własnościowych jakiegoś narodu. Czy można oczekiwać czegoś troski dla stałości i trwałości własności prywatnej od tych, którzy całą swą dotychczasową egzystencję zawdzięczali jedynie zrzeczności, z jaką czynili własność niepewną i sporną? Czyż nie można było przewidzieć, że wraz z ich wyniesieniem zwiększą się jedynie zasięg ich rzemiosła, ale ich skłonności, przyzwyczajenia i sposoby na jakie zwykli urzeczywistniać swe zamysły muszą pozostać niezmiennie? /tamże, str. 87/. Jakaż to mu-

siało być radość dla, jak ich określał hrabia de Maistre, garstki zuchwałych adwokatów i ich popleczników, gdy mogli produkować całkiem nowe ustawy zmieniające od podstaw całość życia prywatnego i publicznego. Ale choć fale papierowych ustaw i dekrétów salawały Republikę Francuską, to wadnie dla niej zostało zastrzeżone pokazanie, jak pisał de Maistre, "złodziejstwa zorganizowanego": "Opiera się ona na złodziejstwie, istnieje tylko dzięki złodziejstwu - musi więc na złodziejstwo pozwolić. Okrada wszystkich i wszyscy ją okradają."

Cios zadany cywilizacji przez Rewolucję Francuską był okrutny ale nie śmiertelny. Zasada Rządów Prawa tryumfowała w XIX w. w Europie i Stanach Zjednoczonych. Wierzone bowiem, że istnieją prawa, których nie wymyślił żaden pracodawca, które nie zostały przez człowieka zrobione lecz odkryte. Ale niestety, w miarę upływu czasu coraz częściej dochodziły do głosu prawowite dzieci Wielkiej Rewolucji Antyfrancuskiej /określenie L. Gombarzowskiego/ czyli osobnicy święcie przekonani o tym, że prawo nie ma stać na straży sprawiedliwości, lecz "sprawiedliwości społecznej". Rządy będące do tej pory "władzami prawa" uczyniły jej narzędziem niezwykle użytecznym przy wznowieniu ponurego gwałtownego "nowego despotyzmu". Prawo będące, jak ujmie to prof. Hayek, ustanowieniem przepisów drogowych stało się zbiorem rozkazów mówiących ludziom, dokąd mają iść. Jeden z najwybitniejszych znawców prawa kontynentalnego A. V. Dicey tak pisał w roku 1915: "Starożytna cześć dla Rządów Prawa wyraźnie podupadła w Anglii w ciągu ostatnich trzydziestu lat /cyt. za F.A. von Hayek "Konstytucja wolności", Chicago 1960, s. 240/.

Upadek Rządów Prawa w Europie nie odbywał się bez udziału prawników. Największe zasługi na polu destrukcji ponieśli zwolennicy tzw. pozytywizmu prawniczego z prof. Janem Ekiensem na czele. Teoretycy ci czerpiąc z Hobbesa, Kartezjusza, Hegla i Marxa zamienili naukę o prawie w naukę o administrowaniu, co skwapliwie wykorzystano potężniejącą z każdym rokiem biurokracja. Dla pozytywistów prawo było z definicji rezultatem całkowicie racjonalnego i świadomego działania prawodawcy, raczej celowym poleceniem, nakazem płynącym z ludzkiej woli niż czymś, co rośnie, zmienia się i doskonali w toku cywilizacyjnej ewolucji. Prawo składające się dotychczas z ogólnych zasad nie odnoszących się do żadnych konkretnych grup społecznych uległo degeneracji przekształcając się w skomplikowany i zagmatwany system arbitralnych rozkazów lub nakazów uprzywilejowujący jedne grupy a dyskryminujący inne.

Jak pisał Feliks Koneczny prawo zostało zamienione w paragrafciarstwo. Prawem mogło stać się wszystko czego życzyła sobie większość lub ... dyktator. Nie ma przesady w stwierdzeniu jednego z amerykańskich autorów: "Państwo totalitarne to po prostu polityczna praktyka prawniczego pozytywizmu /cyt. za F. von Hayek "Konstytucja wolności", s. 456/.

Czy prawnicy byli zadowoleni z "socjalizacji" prawa, z usunkowaniem prawnie ingerencji władzy w życie obywateli, z rozwojem socjaletatyzmu? Na pewno tak. Jakim innym systemem zapewniliby im tyle posad państwowych, tyle znaczenia i tyle władzy. Czyż nie ma racji Benjamin Constant, gdy pisze: "Wielkość praw głośno w prawodawcach dwie przyrodzone skłonności: potrzebę działania i przyjemność mniemania się potrzebnym" /"O monarchii konstytucyjnej i rękoczynach publicznych, Warszawa 1831 str. 91/. Ilekroć zajęcia mieli teraz prawnicy, jakże byli potrzebni działając jako eksperci administracji i agenci państwa, doradcy parlamentarnych komisji w pocie czoła redagując, poprawiając, anulując /to już rzadziej/ niejasnych, rozciągłych jak guma, wątpliwie sformułowa-

nych i pełnych niezrozumiałych wyrazów ustaw i przepisów. Mogli kodyfikować, kontrolować, regulować, porządkować. I z możliwości tej korzystali w całej pełni. Resultaty znamy z własnego doświadczenia.

Kogo nie przekonują moje wywody ten niech się dowie: prawnikiem był Olof Palme, prawo studiowali Włodzimierz Uljanow i Leon Bronstein, doktorom /!/ praw jest Fidel Castro. Chyba wystarczy.

P.S.

"Współczesnej Europie przyjął się zwyczaj, że adwokatów i pisarzy sądowych opłaca się przeważnie w zależności od ilości stron, jakie napisali; sąd jednak określał dokładnie liczbę wierszy na każdej stronie i liczbę wyrazów w każdym wierszu. By zwłaskę swe pobory, adwokaci i pisarze uciążliwi mnożyli wyrazy ponad wszelką potrzebę, co stało się powodem wypaczenia języka prawniczego wszystkich, jak mi się wydaje, trybunałów sądowych w Europie" /Adam Smith "Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów" Warszawa 1954, i wyd. 1776 r./.

Piotr Wierzbicki

Czterech panów



"Obranie Tygodnia" /Tygodnik Powszechny z 4 maja 1986 r./ przeczytałem taką informację: "Kierownik Wydziału Ideologicznego KC PZPR Władysław Loranca powiedział na łamach "Trybuny Ludu", że wszystkie programy opozycji w Polsce Ludowej były "mniej lub bardziej chytełną koncepcją powrotu do prywatnych fabryk i uprzywilejowanej pozycji ziemiaństwa".

Nie lubię cytować z drugiej ręki, ale ponieważ z jednej strony na numer "Trybuny Ludu" z wypowiedzią Loranca nie udało mi się natrafić, z drugiej zaś strony mam zaufanie do "Obraru Tygodnia" jako robryki prowadzonej bardzo solidnie, pozwolę sobie to jedno zdanie zacytować z drugiej ręki i skomentować. Rzecz ciekawa: ja w tym poglądzie coś, na co się całkowicie zgadzam i jest coś, na co nie zgadzam się absolutnie.

A zatem obszar zgody: gdyby Loranca miał na myśli moją skromną osobę, to się nie wypieram i nie wykręcam, tak rzeczywiście, przynajmniej w połowie, jest: o uprzywilejowanej pozycji ziemiaństwa nie marzę, bo ziemiaństwa ani realnego, ani potencjalnego nie ma /mogę co najwyżej stawiać na farmerów czy, jak kto woli, kulałów/, ale prywatne fabryki to jest rzeczywiście mój ideał. Uważam i głoszę w swoich tekstach, że potężny zastrzyk prywatnej inicjatywy jest najtańszym, najpewniejszym, wręcz jedynym sposobem pchnięcia Polski w górę i że zaspikowanie tego zastrzyku powinno być główną troską opozycji.

Albo powiedzieć, że mój prywatny program jest programem całej dzisiejszej opozycji, a może i przyszłej...? Znam jednego takiego, który myśli podobnie jak ja: to Stefan Kisielewski, pierwszy, co wstąpił na tę drogę. Znam jeszcze drugiego: to Mirosław Dzielski, autor mądrej książki "Duch nadchodzącego czasu". Znam jeszcze trzeciego: to Janusz Korwin-Mikke, zasłużony orędownik doktryny liberalnej. Innych nie zauważyłem. Gdyby diagnoza Loranca była trafna, to ja powinienem być teraz miarodajnym, powszechnie akceptowanym auto-

rem opozycyjnym. Jest odwrotnie: uchodzę za oryginała, dziwaka, z lekka zwariowanego pamiłecistę. Jeśli powiem, że opinię wielkich oryginałów mają panowie Dzielski i Korwin-Mikke, nie zdradzę chyba jakiejś specjalnej tajemnicy. Stefan Kisielewski oczyszczony jest szersze i powszechnie. Nie zauważyłem jednak, żeby ktoś poza nami trzeba wyciągnął konsekwencje z jego tekstów.

Może czegoś nie wiem, może się dobrze nie znam na temacie, ale wydaje mi się, że jest akurat odwrotnie niż napisał Loranc: większość dawnych i dzisiejszych programów opozycji cechowała się i cechuje nie dążeniem do kapitalizmu, tylko daleko idącym przywiązaniem do zasad socjalizmu, jeśli nie realnego, to przynajmniej idealnego. Ta opozycja szła zawsze pod sztandarem demokracji, jej ideały to były zawsze ideały demokracji zachodniej, ale demokracja zachodnia i kapitalizm to są - Loranc najwyraźniej nie czuje tej subtelności - dwie całkiem różne parafie. Demokracja zachodnia ma w Polsce prąś niezłą. Wielu Polaków wydaje się, że w demokracji zachodniej żyłoby się im przyjemniej; kapitalizm ma w Polsce prąś złą. Liczni Polacy czują, że w kapitalizmie żyłoby się im nie całkiem przyjemnie.

Opozycja wyczuwa te nastroje i żadnego kapitalizmu nie chce przywracać.

Loranc może powiedzieć, że opozycja się maskuje, że marzy o prywatnych fabrykach, ale /na razie/ po cichu. Odpowiadam: niestety jest inaczej. Gółym okiem widać, że tu nie idzie o wybieg taktyczny tylko o szersze i głębsze nastawienie emocjonalne, o tęsknotę za systemem idealnym, sprawiedliwym, likwidującym zło i o idealistyczno-romantyczne przełożenie wartości duchowych /takich jak demokracja/ nad wartości materialne. /Prywatnie/ fabryka jawi się dziś przeciętnemu autorowi opozycyjnemu jako dość płaski fakt materialny; tylko my zewnętrznie uważamy ją za fakt duchowy, bo nas klasycy liberalizmu nauczyl, że fundamentem wolności jest wolność swobodnie organizującej sobie życie i swobodnie produkującej jednostki ludzkiej.

Loranc bije na alarm, że opozycji chodzi o kapitalizm. Ja biję na alarm, że opozycji n i e c h o d z i c kapitalizm i reklamując swój reprezentujący całą naszą czwórkę program nierewolucyjny, ewolucyjny, liberalny, konstruktywny, lokujący nadzieję w porozumieniu tych Polaków, którzy nie chcą dłużej marnować czasu na słowa.

Bezdroża reformy

Daleki jestem od akceptacji uproszczonego, acz często powtarzanego poglądu, iż reformy w ogóle nie ma, że mówienie i pisanie o niej, nawet jeśli czyni się to w sposób krytyczny, jest zwykłym zabiegami propagandowym, służącym w istocie rzeczy ewokowaniu świata pozorów. A jednocześnie jestem przekonany, że prawdziwe reformy, takiej jakiej chcemy i takiej, która mogłaby wydzwignąć kraj z upadku... być nie może! Sprzeczność, - jak spróbuję to udowodnić sprzeczność pozorna - między tymi dwoma stanowiskami, czy opiniami raczej, ujawnia też bezmiar naszej tragedii. Jesteśmy skazani na wegetację, jeśli oczywiście nie pojawią się nowe okoliczności, umożliwiające całkowicie odmienne podejście, całkowicie nowe rozumienie i całkowitą zmianę języka, jakim dziś posługujemy się - zarówno my, jak i profesjonaliści ekonomiści, a także reprezentanci tej części rządzącej ekipy, którym wydaje się, iż chce naprawdę reform. Tak więc, co niżej, piszę nie tylko myślę

o ukazaniu owej pozornej sprzeczności, od jakiej rozpocząłem ten tekst, ale także w nadziei, iż skłoni on do weryfikacji wielu obiegowych poglądów i ułatwi myślenie programowe.

W niewoli stereotypów

Zacząć trzeba od przypomnienia, że żyjemy w ustroju - ciągle mowa będzie o jego gospodarczej podstawie - całkowicie wymyślonym. Jeśli ktoś woli określenia delikatniejsze to można napisać, że całkowicie zaprojektowanym. Historia gospodarcza świata nie zna, jeśli odrzucić sześć dni boskiego wysiłku, podobnego przypadku: wszystkie inne formacje społeczno-gospodarcze rozwinęły się w sposób ewolucyjny, kształtując narzędzia sterowania i regulacji w sposób naturalny, zgodny z rytmem rozwoju. Rewolucje, nawet najbardziej krwawe i burzące stary ład polityczny, nie rujnowały jego struktur gospodarczych, co najwyżej dokonywały jednorazowego zabioru mienia i wprowadzały inny jego podział. Sprawiedliwość, bo przecież i takie hasła wypisywano na rewolucyjnych sztandarach, odnosiła się więc do sfery podziału, a nie wytwarzania.

Rewolucja październikowa otworzyła rzeczywiście zupełnie nowy rozdział w historii gospodarczej ludzkości. Nie Marks czy Engels - raczej Lenin a właściwie Stalin, jeśli już posługiwać się symbolicznymi nazwiskami, ten rozdział napisali. Marksizm stał się religią, wyznaniem wiary również w kwestiach ekonomicznych, mimo iż sam Marks, nie zajmował się projekcją systemu gospodarczego po spodziewanej rewolucji: w swym podstawowym dziele analizował jedynie system znany mu gospodarki towarowo-pieniężnej i posługiwał się pojęciami przez nią wykształconymi.

Na czym - w największym skrócie oczywiście - polegał miał system gospodarki socjalistycznej? Miał to być system stanowiący zaprzeczenie tego kapitalizmu, jaki był wówczas znany, a więc kapitalizmu z końca XIX czy początku XX wieku z wszelkimi podręcznikowymi jego cechami: marnotrawstwem, nadprodukcją, wyzyskiem itd. Tante obraz dawno przestał już istnieć, jego resztki znalazł można oczywiście na peryferiach rozwiniętego świata /niezależnie od tego jak te peryferie są rozległe/ a w klasycznej formie na kartkach wielkiej literatury. Ale mimo tego socjalistyczne myślenie stale operuje zbitką, czy przeciwstawieniem: socjalizm-kapitalizm. To dziś już nic, a w każdym razie bardzo niewiele znaczy!

Wróćmy jednak do założeń. Twórcy socjalizmu zwanego teraz realnym wyimaginowali sobie, że można wymyślić mechanizm skutecznie zastępujący - w ich przekonaniu złe zarówno ze społecznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia - regulatory życia gospodarczego, jakie identyfikowano z kapitalizmem, choć w istocie ich rodowód jest bez porównania starszy: pieniądź, rynek, wartość i wszystkie pochodne tych pojęć. To prawda, że formacja znana przez marksistów kapitalizm owe regulatory życia gospodarczego znikomicie rozwinęła, ale przecież pojawiły się one znacznie wcześniej, wraz z pieniądzem, a więc znane były już Fenicjanom. Są to bowiem "wymysły" gospodarki towarowo-pieniężnej, a nie kapitalizmu, któremu walkę na śmierć i życie wydał socjalizm.

Jak go chciał pokonać? Lenin twierdził, że wyższą wydajnością, ale to dziś tak śmiechy, że mało kto już się powołuje na te słowa. Przy okazji zapomniał się jednak, iż źródłem owej wyższej wydajności systemu miała być nie tylko inna relacja do własności środków produkcji, czyli inna - jak byśmy współcześnie to określili - sotywyacja pracy, ale przede wszystkim wyższa efektywność ogólna, jaką miała zapewnić planowość gospodarki. Plan - i to najbardziej dyrektywny plan - miał stanowić jądro nowego systemu.

Najbardziej schematycznie rzecz ujmując plan powinien z jednej strony bilansować wszystkie społeczne potrzeby, a z drugiej ustalać sposób ich zaspokojenia przez ilościowe zadania produkcyjne i rozdziałnik wytworzonych dóbr. Optymalizacja gospodarki miała więc następować przez plan, wszechogarniający plan centralnie ustalany. Ale skoro tak, to zbędne stało się całe instrumentarium ekonomiczne stworzone przez gospodarkę towarowo-pieniężną! Przypuszczenie, iż ignorowanie np. prawa wartości, rynku i jego wymogów, wreszcie spódnienie pieniądza itd. to błędy systemu jest oczywistym nieporozumieniem. System świadomie wyrzucił te narzędzia za burzę, jako całkowicie mu niepotrzebne.

Można i trzeba w tym miejscu zapytać czy niepowodzenie tej skądinąd frapującej intelektualnie koncepcji wynika z wad tkwiących w założeniu, czy może tylko ułomność narzędzi jakimi dysponował - i dysponuje nadal - centralny planista sprawia, że model funkcjonuje fatalnie? Jest to centralne pytanie reformy, które publicznie nie zostało zadane, choć od odpowiedzi na nie zależy wszystko! Póki co jesteśmy więźniami stereotypu "dobrego socjalizmu" i złą jedynie jego realizację, skazani na "dalsze doskonalenie" wymyślnego modelu, choć może cel powinien być zupełnie inny?

W niewoli doktryny

Niestety, to kluczowe pytanie może zostać postawione tylko w podziemiu, każdy je formułujący publicznie zostanie bowiem oskarżony o wszystkie "antysocjalistyczne" grzechy główne. Myślę nawet, że profesor Baka i komplet jego utytułowanych doradców nawet przed lustrem boja się posyłać o czymś takim. Co więcej tego pytania nie zadała także "Solidarność" zdając sobie zapewne sprawę z programowanych konsekwencji wynikających z odpowiedzi, a także nie mając, prawdę powiedziawszy, żadnej koncepcji pozytywnej. Ale właśnie dlatego zdziwienie od początku było oczekiwane, że władza myśli o reformie prawdziwej. System jest bowiem rzeczywiście nierreformowalny, lub - mówiąc ściślej - jego autentyczna reforma musi prowadzić do zakwestionowania doktryny.

Tym bardziej, że gospodarka planowana centralnie idealnie służy totalnej dyktaturze partii, grupy czy jednostki. Jeśli bowiem plan ma służyć optymalizacji /w tym miejscu nie ważne czy rzeczywiście temu służy/ to jej warunkiem jest arbitralne określenie celów społecznych przez centrum. Proszę zwrócić uwagę jaką karierę w socjalizmie zrobiło określenie: interes ogólnospołeczny i pochodny od niego system norm, normatywów, limitów i szczegółowych przepisów służących ujednoliceniu ludzkich zachowań. Mamy tu do czynienia z niezwykle ważnym sprzeczaniem konieczności i zamysłu. Plan, by skutecznie regulować procesy gospodarcze musi uwzględnić nieobliczalną ilość zmiennych - zmienną w tym przypadku jest zachowanie się milionów ludzi w tysiącach życiowych sytuacjach: produkcyjnych, konsumpcyjnych, obyczajowych, cywilizacyjnych, kulturowych itd. Musi więc dążyć do minimalizacji wzorców takich zachowań, a więc do maksymalnego ujednolicenia ludzkich wyobrażeń o życiu i szczęściu. Z punktu widzenia wszechogarniającego planu ideałem byłoby, by każdy miał takie samo mieszkanie, identyczne jego wyposażenie, by chodził w typowym ubraniu - tę wyliczankę można prowadzić niemal bez końca.

Jakie to znakomite pole do wszelkiej ideoktrynacji! Czy zresztą daleko od niej odeszliśmy, mimo, że Polskę nadal określamy jako najsympatyczniejszy barak w całym obozie?

Krótko mówiąc wymyślony system gospodarczy znakomicie współgra z systemem politycznym, trudno nawet precyzyjnie określić, co

z czego wynika. Dotyczy to np. również fundamentalnego założenia systemu, jakim jest teza o wyższości własności państwowej, którą dla lepszego brzmienia nazywa się też własnością ogólnospołeczną czy ogólnonarodową, nad wszelką inną, w tym także spółdzielczą czy grupową. Nobla należy przyznać temu, kto logicznie udowodni tę przewagę. Poza jednym wyjątkiem: mianowicie umożliwi ona najlepiej rozerwanie związku między celem i kosztami jego osiągnięcia, na rzecz priorytetu celu, który osiąga się za każdą cenę. Tyle, że ten cel najczęściej ma charakter polityczny, a w każdym razie wynika z doktryny, a nie racji ludzkich.

Inaczej mówiąc w tym systemie upaństwowienie wcale nie jest tożsame z uspołecznieniem, jeśli już to raczej z upertyjowaniem. Nie sposób sobie nawet wyobrazić robienie tylu głupstw gospodarczych, podjęcia tylu decyzji nieracjonalnych, ewidentnie marnotrawnych, czy tylko nieefektywnych w przypadku innej struktury własności. W chwilach słabości określa się te decyzje mianem woluntaryzmu. Cóż to jednak jest ten „woluntaryzm”? Nieoceniony Kopaliński w „Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” wyjaśnia, że jest to kierunek filozoficzny uważający wolę za główny czynnik poznania, a nawet za istotę bytu. Socjalistyczne plany są więc w swej istocie woluntarystyczne, bowiem stanowią wyraz woli centrum materializacji własnej wizji kraju, życia, ludzkich potrzeb.

Upaństwowienie i kierowanie życiem przez plan stanowi też podstawę praktycznego funkcjonowania systemu zarówno w jego warstwie społecznej, politycznej, jak i ekonomicznej. Na tej zasadzie działa nomenklatura, mechanizm dóbr i przywilejów oraz dziesiątki innych specyficznych elementów socjalizmu. Czy mogłaby ona działać w taki sam sposób, gdyby gospodarka była całkowicie niezależna od polityki i kierowała się kryterium racjonalności? Pytanie częściowo retoryczne. Nawet społeczna, czy może raczej polityczna hierarchia zawodów sytuująca górników i hutników na szczyty piramidy uległaby wówczas rozpukaniu.

Jak silne są więzy niewoli w jakie wplętała nas doktryna doprowadza perypetie samorządu. Niestety, względy o jakich pisałem wyżej sprawiają, iż wokół samorządów narosły także mity utrudniające zrozumienie istoty walki, jaka się toczy wokół nich. Uwierzyliśmy nawet, że samorząd to najdoskonalsza forma kierowania przedsiębiorstwami i z wyraźną niechęcią odrzucamy donosy oficjalnej prasy świadomie eksponujące niską sprawność samorządowego kierownictwa i podsycające konflikty na linii dyrekcja-samorząd. Tymczasem w modelu samorządowym chodzi o coś zupełnie innego, w każdym razie w najniejlepszym stopniu o sprawność menadżerską. Po prostu trzeba znaleźć kuchenne drzwi prowadzące od „najwyższej” formy wolności państwowej do... No właśnie: dokąd czy do czego? W niewoli doktryny odpowiadamy faryzeuszkowsko, że do prawdziwego uspołecznienia. Brzmi to ładnie, ale znaczy nie wiele, a w każdym razie jest sporo innych możliwych rozwiązań, tyle, że aby je znaleźć trzeba najpierw wyraźnie powiedzieć czego się szuka i co to znaczy uspołecznienie? I czy uspołecznienie jest warunkiem sprawiedliwości? Może w ogóle mniej się zajmować kwestią tworzenia dóbr - to zostawiając tym, którzy produkują najefektywniej, a uwagę skupiając na sprawiedliwym podziale?

Jak na razie samorządowe zagrożenie najlepiej rozpoznała władza, dla niej bowiem mniej ważna jest efektywność, bardziej możliwość utrzymania jej atrybutów w postaci nomenklatury i narzucania celów ustalonych przez plan, więc szybko zbliżamy się do znanej formuły KSR. Bowiem w gospodarce na straży interesu zwanego ogólnospołecznym i arbitralnie, żeby nie powiedzieć woluntarystycznym, ustalanego przez centrum musi stać partia. Tak jak na straży interesu politycznego MSW. Aby ta straż była skuteczna, własność musi być „własna”.

W niewoli struktury

Inny aspekt doktrynalnych uwarunkowań reformy stanowią struktury gospodarki. Znow totalna nieporozumieniem jest przypuszczenie, że tak powszechnie krytykowana hierarchiczność i branżowa czystość życia ekonomicznego jest wynikiem błędu. Tymczasem to nie błąd, a po prostu logiczna konsekwencja systemu. Jak pisałem, plan najpierw musi sobie poradzić z ludzką indywidualnością zmuszając nas do możliwie schematycznych zachowań, co jest tylko warunkiem koniecznym, tyle że niewystarczającym. Iam bowiem uboższe były narzędzia jakimi mógł się posługiwać centralny planista, jeśli chciał opanować żywioł gospodarczy, tym bardziej naturalne okazywały się jego dążenie do minimalizacji podmiotów, jakimi zarządza za pośrednictwem planu. Jego marzeniem stał się schemat organizacji zapewniający najpłynniejszą drogę przekazywania nakazów planu i systemu kontroli ich wykonania. Nie jest więc przypadkiem, że socjalizm nie kocha małych, ani to, że cała gospodarka jest zorganizowana jednolicie, a organizacja ta przypomina strukturę wojskową. Tysiąc profesorów naukowej organizacji może udawać, że sposób kierowania powinien zależeć od branży, że czasem zasadne są powiązania pionowe, a czasem poziome itd. - nic z tego. Zawsze na górze musi być resort, po drodze zjednoczenie, dalej kombinat i na końcu przedsiębiorstwo; tak samo powinno być w hutnictwie i w drobnej wytwórczości czy spółdzielczości niezależnie od oczywistej specyfiki tych dziedzin. Te dwie ostatnie musiały zresztą pójść, bo utrudniały jednolitą zależność i branżową czystość. Proszę zwrócić uwagę, że nawet organizacjom spółdzielczym socjalizm narzucił terytorialną i branżową jednolitość - "Spółkę" może działać tylko w miastach, "Samopomoc Chłopska" na wsi, choć między miastami miasteczkami a gminną wsią nie ma różnicy w sensie konsumpcyjnym. Ale w planie jest podział na ludność wiejską i miejską, więc bilansowanie wymaga przestrzennej czystości.

Ditto, monopolizacja, która nawet w skrajnym stadium kapitalizmu, czyli w imperializmie, nie zeszła tak daleko jak w socjalizmie. Znow nie jest to błąd, ale konsekwencja systemu. Podobnie jak skutki doktrynalnego założenia o przewadze produkcji środków produkcji nad środkami konsumpcji - niby na ten temat powiedziano już wszystko, ale wystarczy analiza listy 500 największych przedsiębiorstw czy systemu ulg podatkowych, dotacji lub zwolnień z FAZ, by uświadomić sobie jak trwałe są strukturalne elementy systemu gospodarki socjalistycznej.

Centrum ubezwłasnowalnia gospodarkę właśnie przez jej strukturalną niewolę. Reformatorom wydawało się, że wystarczy wyniszczyć pewne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw, by niejako automatycznie poruszyć podstawy scentralizowanego systemu. Rozumowano pozornie słusznie, że przecież suma decyzji jakie podejmie się w gospodarce jest zawsze ta sama, więc zwiększenie pola samodzielności na dole musi spowodować jego ograniczenie na górze. Założenie to okazało się jednak fałszywe. Centrum, pod naporem społecznej presji, a częściowo także na skutek uświadomienia sobie /przynajmniej przez część jego składu/ niskiej efektywności gospodarki, zagrożonej nawet jej legitymacji, zdecydowało się na reformę. Odczł szybko jednak zrozumieło, że zbyt głęboko reforma także, może nawet skuteczniej niż wszystkie społeczne wybuchy, podważa jej istnienie, zakwestionuje bowiem podstawy systemu. Stąd tak szybko wycofało się z prób reformy centralnych szczebli zarządzania gospodarką i wyraźnie zapoczątkowało dobrowolność tworzenia struktur jej organizacji. Przeciwieństwo nawet, stale wzmacnia zarówno materialnie jak i pośrednio szczeble zarządu przez nadanie im uprawnień w dziedzinie rozdzielnictwa oraz podnosząc ich wagę w róż-

nych negocjacjach o dotacje, ulgi, przydziały i udziały w benificjach dzielonych przez centrum.

Znow jesteśmy w sytuacji najtrudniejszej. Skoro bowiem nie zakwestionowano doktryny, to musimy udawać, że najwyższyni szczytami dla gospodarki jest totalna niezależność przedsiębiorstw i bronią ją przed jakąkolwiek strukturą. Jesteśmy oczywiście śmieszni, że można nas powołać o to, iż cofamy się do początku ubiegłego wieku, że nigdzie na świecie nie ma całkowicie samodzielnych przedsiębiorstw itd. A jeśli próbujemy argumentować, że nie chodzi o związki strukturalne w ogóle, ale o administracyjną podległość, wówczas powiada się, że to demontaż państwa, anarchosyndykalizm i Bóg wie co jeszcze, wtedy udajemy, że nie, że wiernie stoimy na straży socjalizmu, tyle, że chcemy, by był on lepszy, sprawniejszy.

Drogi wyzwolenia

Tymczasem inny on być nie może! Na tym polega też dramat naszych reformatorów, że udają oni - a może myślą tak naprawdę, że twierdzą - że na socjalistycznym gruncie, tyle, że wyobrażają sobie, iż może on być inny niż jest. W rezultacie operują systemem stworzonych przez projektantów systemu, mimo, iż pojęcie to niczego nie wyrażają, niczego nie tłumaczą, przeciwnie nawet - służą świadomej deformacji rzeczywistości, świadomemu kamuflażowi, potrzebemu jedynie dla ukrycia istoty systemu. Nie można więc naprawdę niczego zreformować, jeśli najpierw nie zdefiniuje się tego, co zmienić się pragnie, później nie powie wyraźnie na czym polegają błędy, które chce się wyeliminować, a wreszcie nie ustali precyzyjnie o co w reformie chodzi rzeczywistości, a nie pozornie.

Jest to elementarz. Sztuczność oficjalnego życia publicznego sprawia jednak, że o nim się zapomina, albo udaje się, że wszystkim jest on znany i nie trzeba porozumieć się co do jego znaczeniowych symboli. Póki tak jest, póty dyskusje naszych reformatorów przypominają rozmowę dziada z obrazem. Z tym jednak, że i dziad i obraz udają, że mówią o tym samym i że dochodzą do wspólnych konkluzji. Następnego dnia okazuje się jednak, że każdy chciał powiedzieć coś innego. Spotykają się ponownie i znowu każdy swoje. Po drodze załatwiają jakieś drobne sprawy, ale istota jest ciągle poza dyskusją.

A co trzeba powiedzieć? Chodby to, co próbowałem napisać na początku, mianowicie, że socjalizm jest całkowicie wymyślonym, sztucznym systemem. Tak jak nie ma ekonomii kapitalizmu, tak nie ma ekonomii socjalizmu, obie te kategorie niczego nie oznaczają w sensie ekonomicznym, nawet kwestia własności nie jest wyróżnikiem, bowiem kapitalizm zna własność państwową, a socjalizm prywatną.

Inaczej mówiąc, że oba quasi systemy są tylko mutacjami gospodarki towarowo-pieniężnej, nie ma więc żadnych obiektywnych powodów by różnice między nimi w sferze ekonomicznej były konieczne. Tylko, że jedna z tych mutacji jest efektywniejsza od drugiej, przy czym nie ma wątpliwości o którą tu chodzi.

Różnica dotyczy właściwie jednego - skali własności państwowej. Jednakże doświadczenia tzw. kapitalizmu wskazują, że nawet ten sprawniejszy system nie radzi sobie z nadmierem upaństwowionego szczytami, kolejne socjalistyczne rządy we Francji czy Anglii padają m.in. dla tego, że ciąży na nich ekonomiczny balast nacjonalizacji. Z powyższego wynika, że kluczową dla reformy w państwach obozu socjalistycznego kwestią jest sprawa własności. Trzeba odrzucić dogmat o nierzeczywistości czy wyższości różnych form własności, a jedynie próbować odpowiedzieć na pytanie co konkretnie powinno być państwowe, a co nie i jakie znaleźć sposoby "odpaństwowienia" znacznej części aparatu wytwórczego, by nie wrócić /jest to nawet niemożliwe/ do wyłącznej własności prywatnej. Okazuje się wówczas zapewne, że samorząd niekoniecznie jest jedyną formą uspołecznienia.

Idźmy dalej tym tropem. Otóż zakwestionowanie tego, co nazywany systemem gospodarki socjalistycznej i uznanie, że jest to tylko mutacja gospodarki towarowo-pieniężnej oznacza odrzucenie obecnego - powszechnego, i to niezależnie od celowej motywacji - myślenia o reformie jako o próbie zaprojektowania jakiegoś innego modelu, może nawet teoretycznie lepszego. Doświadczenie już prawie 70 lat socjalizmu powinno uświadomić wszystkim, że systemu gospodarczego nie da się wynaleźć czy zaprojektować. Śmiesz mnie gorączkowo wysiłki naszych luminarzy ekonomicznych, ich wielogodzinne narady, naukowe konferencje i sympozja poświęcone sporom o taki czy inny "regulator", o to czy lepszy jest podatek liniowy czy progresywny w sytuacji, gdy gospodarka ginie. Tak jakby nie wiedzieli, że inne gospodarki wychodziły szybciej ze znacznie gorszych stanów kryzysowych. Stąd wnioski, że reforma nie powinna polegać na wynalazaniu czegokolwiek, ale tworzeniu warunków, w jakich zaczęła funkcjonować mechanizmy systemu towarowo-pieniężnego, których naprawę nie trzeba odkrywać od nowa, tak jak nie trzeba od czasu Kolumba odkrywać Ameryki.

Natomiast trzeba skupić się na dwóch zespołach zagadnień. Po pierwsze nad możliwie szybkim odtworzeniem infrastruktury gospodarki. To znaczy nad tym, by pieniądź był pieniądzem, cena ceną, bank bankiem, kapitał kapitałem itd. Tego wszystkiego też wynaleźć nie trzeba, jako że świat zna te pojęcia, natomiast trzeba znaleźć sposób przywrócenia do życia tych kategorii. Po drugie trzeba podjąć dyskusję nad tym, jak wkomponować w mechanizm gospodarki towarowo-pieniężnej pewne, przez społeczeństwo wyegocjowane, elementy sprawiedliwości społecznej. A także nad tym w jakie uprawnienie wyposażyć centrum, by mogło ono oddziaływać na strukturalne procesy gospodarcze. Ale to tylko wówczas jeśli społeczeństwo, jego autentyczna reprezentacja, będzie miała zapewniony wpływ na władzę decyzyjną centrum.

Taki powinien być program reformy, jeśli ma ona naprawdę coś zmienić. Oczywiście, byłoby utopią sądzić, że nasza ludowa władza zgodzi się na podobny tok rozumowania, a tym bardziej działania. Choć skądinąd twierdzi ona, że kieruje się "jedyną słuszną nauką" - marksistowską, a ta przecież dowodzi, że ewolucjonizm jest największą pomyłką socjaldemokracji i że system można zmienić w sposób rewolucyjny. Może jednak kiedyś pojawi się sytuacja rewolucyjna, więc warto zawczasu wiedzieć co wypisać na jej sztandarach. Hasło: Reforma - nic nie znaczy, póki nie powie się wyraźnie co i jak chce się reformować.

Na razie musimy się zadowolić tym, co jest. A jest niewiele, choć jakiś kroczek do przodu władza jednak czyni. Nie warto jednak rozdzierać szat, że jest to tylko kroczek, ta władza dużo więcej zrobić nie może. Gdyby zrobiła to, co chcemy to podziwiałaby sama podstawą swoich rządów. Oto dlaczego znaleźliśmy się na bezdrożach reformy.

AP

Nasze zajęcia twórcze

Gdy czyta się naszą prasę lub słucha telewizji /a ja, wybaczyć, nie innego nie robię/, odnosi się nieodparte, pozytywne wrażenie, że aktywni Polacy poświęcają się głównie trzem czynnościom: a/ wygłaszaniu pięknych i słusznych przemówień; b/ pracom ustawodawczym; c/ pracom kontrolnym. a/ Przemówienia są z reguły całkowicie i uderzająco słuszne, opisują, jak powinno być u nas pięknie i dobrze, pomijając jednak rozmyślnie pewien nieistotny szczegół, mianowicie, a jaki sposób ma się do tego doprowadzić,

znakiem, że dotąd się to nie udało. Przemówienia traktują pięknie o pracy, patriotyzmie, odpowiedzialności, ale nie podają, aby nie zaciemniać tematu, co w tym wszystkim przeszkadza. Krótko mówiąc, przemówienia zalecają leczć skutki choroby, nie marnując czasu na rozważanie o ich przyczynach; interesują się wyglądem kwiatu, nie wnioskując w stan korzenia. Wynika to również z przyrodzonego Polakom kultu piękna: korzeń to obrzydły, bezkształtny podziemiec, a kwiat, jak powszechnie wiadomo - suma słodyczy, woń i barwa. b/ Czynność ustawodawcza to rzecz niezwykle pożyteczna, zastępuje bowiem czynności życiowe, uzupełniając je i doskonaląc. Ustaw winno być tyle co funkcji życiowych, wtedy wszystko zostanie docelowo i wiadomo uregulowane. Żadna czynność ludzka nie powinna się obyć bez swojej ustawowej definicji. Pamiętajmy uchwalona kiedyś przez mnie ustawę o drogach państwowych. Pierwszy, sąsiedni punkt tej ustawy głosił, iż droga państwowa służy mechanicznym pojazdom kilkukołowym /użytkownikom drogi/ do posuwania się naprzód - definicja odspiająca słuszną, wręcz niezbita. Podobnie prawdzie służyć będzie nasza nowa ustawa o młodzieży: młodzież staje się wraz z latami coraz starsza i musi to znaleźć swój wyraz w ustawodawstwie - ustawodawca wszakże wszystko w końcu dojrzay, dojrzał ostatnio nawet narkomanię. c/ Działalność kontrolna wiążeć się musi organicznie, równolegle do przybywania ilości ustaw, proporcjonalnie do ich liczby. Jeśli każda czynność życiowa ujęta będzie swoją ustawą, to takiej organizacji społecznej odpowiadać winna odnośna jednostka kontrolna, której skład osobowy oraz funkcyny określony być winien również w drodze ustawodawczej. Działalność kontrolna, tak społeczna /robotniczo-chłopeka, samorządowa, związkowa, regionalna, ośrodkowa, wojewódzka i państwowa/ wyposażona być winna w odpowiednie prerogatywy penitencyjne, co zapewni dalsze doskonalenie systemu czynności życiowych, wyrażonych i ujętych w narodowym planie ustawodawczo-oratorskim.

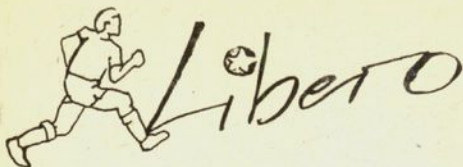
System ABC /a, b, c/, czyli od słusznego przemówienia, poprzez rozsądną czynność ustawodawczą, aż po koronującą ów rozsądek akt prac kontrolna stanowi całość niezwykle spójną i starannie wyartykułowaną, nie noszącą cech tak kiedyś rozpowszechnionych a szkodliwych uznaniowości i akcyjności. Nieodpowiedzialne głowy podnoszące się w określonych dźwiękach, iż nasza pedagogika karna i ustawodawcza ucząc, czego nie należy robić, pomija na okrągło i docelowo sprawę, co należy robić, muszą wzbudzić śmiech i politowanie, tudzież powszechną pogardę wobec określonych kół, chcących upiec swą nieioną pieczeń. Polacy wiedzą, co należy robić, ich mądrość ustawodawcza z docelowym celem, jakim jest ustawodawstwo, docelowo wyżywienie populacji narodu i jego przyzwolione kontrolne uświadomienie nie zostanie zachwiana jakimkolwiek określonym wystąpieniem wicherzoniowymi określonych kół /i trójkątów/, co w sposób efektywnościowo adekwatny artykułuje i wdraża wrogi wszelkim określonym ciągotom i paradygmatom fałszującym docelowo zasadność narodowego archetypu optymistycznej i wiódącej pracy ethos poezjania i przesłania,

jakie ściśle, pościśle i serwuje ludności i populacji określony, unikalny w określonym specjalistycznym punkcie w inwentarskie docelowo określone komponenty pod klucz z mazu na okrągło zaopatrzone.

Kisiel

Tekst ten został zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego" nr. 21/86.





PISMO LIBERAŁÓW - WARSZAWA

W AZJI I GDZIE INDZIEJ...

Miesiące letnie przyniosły jedną ogromną zmianę w polityce międzynarodowej. Ta dziejowa, niestety, zmiana jest wyrazem dopasowywania się polityki do realiów.

Od miesięcy już przedstawiciele administracji amerykańskiej jawnie mówią, że rola Europy się skończyła i centrum sceny staje się basen Pacyfiku. Politolodzy wskazują na to od ponad dziesięciu lat.

Od tej pory takie konflikty jak Berlin lub Polska nie będą obchodziły świata bardziej, niż obecnie nas interesuje sytuacja w Korei lub na Timorze. Sądzić należy, że z biegiem czasu wojna amerykańskie zostaną wycofane z Niemiec - a nacisk sowiecki odpowiednio zelżeje. Może to i dobrze - nie być w centrum uwagi?

Na konferencji prawowej p. Michał Kapica, v-minister spraw zagranicznych ZSRS, uznał za możliwe zrezygnować z wysp na Amurze, które w 1963 roku omal nie stały się przyczyną sowiecko-maoistowskiej wojny. Charakterystyczną jest formuła: "po stronie chińskiej znalazłyby się niektóre wyspy, które dotychczas uważano za sowieckie, a w perspektywie mogłyby stać się chińskie". Formuła ta ma podtrzymać zasadę o "świętych i niemaruzalnych" granicach ZSRS /ogłoszoną przez amb. Zorina w 1963/: Sowietci nie oddają terytorium: oni nigdy tych wysp nie mieli, tylko przez pomyłkę były one uważane za ich ziemie!

Jest jasne, że formuła ta otwiera drogę do zwrotu Japonii Wysp Kurylskich - oczywiście w zamian za uznanie suwerenności sowieckiej nad całym Sachalinem, zagrabionym przez Japonię w 1905 roku /i z którym Japonia nie bardzo wiedziała, co robić, gdyż Japończycy nie lubią zinnego klimatu i nie chcieli się tam osiedlać/.

Dodatkowym czynnikiem jest fakt, iż TASS podała informację o wizytach przyjaźni na najwyższym szczeblu między ZSRS a Japonią w następnym zdaniu po opisie sytuacji na Amurze. Trudno o dobitniejszy sygnał!

Przy okazji: w wyborach w Japonii rządząca partia Liberalno-Demokratyczna /o ideologii konserwatywnej/ powiększyła swoją przewagę. Serdeczne gratulacje.

Ze smutkiem odnotowuję natomiast porażkę liberałów austriackich. W sprawie wyboru p. Waldheima liberałowie zajęli stanowisko

neutralne. Skutecznie zresztą: na socjalistów głosować nie mogli, a p. Waldheim to typowy biurokrata, skłonny do etatyzmu. Zalecili więc wstrzymanie się od głosu. Jak wszyscy pamiętamy, prasa etatystyczno-tydowska na całym świecie rozpętała historyczną kampanię przeciwko Waldheimowi nie z uwagi na jego osobę, lecz dlatego iż groziła Czerwonym utratą Austrii. Austria jest /byża?/ twierdzą socjalistów. To tu p.pkk Kadafi za ciężkie petrodolary wypłacał Czerwone Brygady i Czarne Wrzesnie oraz inne Rewolucyjne Frakcje i Armie. Stąd prowadzona była - i jest - wywrotowa robota przeciwko rządowi na całym świecie.

Neutralny Waldheim, w dodatku trowszą anty-semitą, był zagrożeniem dla całego systemu logistycznego Czerwonych. Ciężko będzie go przenieść gdzie indziej: w rękach socjalistów pozostają tylko kraje romańskie, tradycyjnie niestabilne. Losy socjalizmu w Szwecji też są chybapolichzone. Stąd pisma na ustach socjal-estatystów. Nie-ety, liberałowie austriaccy ugięli się pod naciskiem. W drugiej turze zalecili swym wyborcom głosowanie p r z e c i w k o p. Waldheimowi. Wynik: otrzymał w i e c e j głosów, niż w pierwszej...

Liberałowie austriaccy wyciągnęli wnioski z klęski: na początek września wybrali przewodniczącym Partii Wolności p. Jorga Haidera z Karyntii, znanego ze skrajnie prawicowych /w sensie gospodarczym, a nie np. losowym! / poglądów. Są to poglądy tak ultra-liberalne, że Chrześcijańska Demokracja woli do wyborów przystąpić w "Wielkiej Koalicji" niż z SPÖ! Tę koalicję komunistyczna "Morning Star" nazywała najświętszym "przymierzem prawicy": w istocie jest to centrowy blok, mający chronić biurokrację przed atakami liberałów /w Austrii tradycyjniebranie są upartyjnione i np. kolejarze od vice-mistrza do zwrotniczego mają legitymacje SPÖ, podczas, gdy leśnicy będą konserwatystami. Takie tam są układy...

P. Mukri, szef austriackiej kompartii, oświadczył, że wybór p. Haidera "jest wynikiem ogólnego zwrotu w prawo w polityce Austrii". Jak zwykle: przyznając rację komunistom w ocenie faktu. Śmiało zauważyć, że z teorii wynika, że będzie to zwrot b. wyraźny, gdyż długo był hamowany przez ichnią Nową Klasę. Oby nie był to zwrot zbyt daleki...

Wróćmy w rejon Pacyfiku. W samym jego centrum mieliśmy okazję obserwować przysiębiający spektakl. Prasa amerykańska, przy współudziale wszystkich postępowych sił, obaliła na Filipinach rząd p. Marcosa. Jak przystało na szermierz demokracji - obaliła rząd wybrany większością głosów. Warto przedstawić scenariusz:

1. Silna kampania domagająca się uznania przez p. Marcosa swobód demokratycznych i praw człowieka.
2. Administracja amerykańska ugina się pod huraganowym ogniem i popiera ten postulat swoim naciskiem - tym bardziej, że reżim Marcosa jest coraz mniej sprawny gospodarczo /a prasa podsuwa - fałszywą - wiadomość o fiasku p. Marcosa z Sowietami/.
3. Marcos uznaje te żądania i szwela na działalność "niezależnej agencji kontrolującej wybory".
4. Wybory się odbywają. Jest to raczej parodia: w jednych prowincjach ludzie głosują zastraszeni terrorem komunistów, w innych przekupieni przez administrację.
5. Kościół, opanowany przez lewicę /podobnie jak w Ameryce łacińskiej/ występuje przeciwko prez. Marcosowi.
6. "Niezależna agencja" zarzuca rządowi fałszerstwa, w wielu przypadkach zapewne słusznie, o czym potem.
7. Organizowane są - przy współudziale kościoła - wielkie manifestacje anty-Marcosowskie.
8. Prasa całego świata aż huczy o prawdziwych i rzekomych fałszerstwach.
9. Marcos ma związane ręce, ale ufny w podporcie wojska szwela na wszelkie demonstracje by nie wydać się

mało demokratycznym. 10. Kościół ogłasza, że moralną zwycięstwą wyborów jest p. "Serdenko" Aquino. 11. Przekupieni /mówi się o milionach dolarów i obietnicach politycznych/ dwaj generałowie ogłaszają pucz wojskowy. 12. W tym decydującym momencie pod naciskiem ulicy, prasy amerykańskiej, oraz przekonania, że wszystko stracone część wojska przechodzi pod komendę owych generałów. 13. Arcybiskup Manili czym prędzej ogłasza p. Aquino prezydentem, p. Marcos opuszcza kraj.

Co dalej? 14. Okazuje się, że większość ludności była jednak za Marcosem. 15. Raptownie pogarsza się sytuacja polityczna i gospodarcza. 16. Komuniści domagają się ustępstw grożąc wycofaniem swego poparcia. 17. Okazuje się, że "niezależna agencja" fałszowała swe wyniki i - co więcej - w jednej z prowincji przyłożyła się do fałszowania wyników na k o r z y ś ć p. Marcosa, by nieść broń propagandową. 18. Trwają demonstracje zwolenników p. Marcosa - nie ma jednak mowy o prawach obywatelskich, lecz spokojnie ich uczestników pakuje się do aresztów /za parę miesięcy będą, jako wrogowie ludu, ładować w obozach pracy/.

P. Aquino, jak się wydaje, nie ma śladnych poglądów politycznych, bo i skąd? Chce, zapewne jak najlepiej. To samo tyszy dostojników Kościoła, którzy wbrew zaleceniom Ojca Świętego wdałi się w machlojkę polityczną. Efekt dla Filipin będzie jak najgorszy. Dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło... O ten efekt już postarają się różni doradcy - miejscowi i zagraniczni.

Niech nasza lewacka opozycja uważa śledzi rozwój sytuacji na Filipinach. Dla nich "upadek Marcosa jest kolejnym dowodem, że kończy się era dyktatorów i przyjdzie kolej na Jaruzelskiego". Niech więc patrzają! Niech patrzają i myślą! Na razie zapewne szukają w Polsce jakiejś pani Aquino, Bandaranaike, Peron, albo Gandhi. Może nada się p. Anna Walentynowicz?

Komentator

Saint Vincente 1986

Tegoroczne Walne Zgromadzenie Mont Pelerin Society przypomina większość znanych mi konferencji naukowych. Uczni z całego świata zjechali się po to, by ze sobą pogadać, wymienić poglądy, stwierdzić, że żyją i trzymają się nieźle. Są, owszem, liczne referaty i dyskusje, ale przebiegają one na zupełnie socjalistycznych zasadach: autor czyta to, co wszyscy i tak już dawno przeczytali, potem dwóch ko-referentów czyni dokładnie to samo, wreszcie pada z sali parę głosów ograniczonych do trzech, czterech minut - i tyle. Co prawda: nie bardzo jest o czym dyskutować, gdyż poglądy są nawzajem zbliżone. Na początku jako gorliwy nowicjusz starałem się tym kapitalistom głos zabierać - potem dałem spokój, tym bardziej, że akustyka była jakby wybiórka: rozumieli mnie doskonale /i z wzajemnością/ Włosi, Szwedzi, Japończycy, Hong-Kong-ijczycy, Niemcy, Francuzi itd. - natomiast Anglosasi uparcie twierdzili, że mówię niewyraźnie ... ja???! A kto co i raz opowiadał z trybuny jakieś dowcipy, z których się śmiali wyłącznie Anglicy i Amerykanie, gdyż przy fatalnej akustyce wymowa oksfordzka przepadała dla mnie i prawionych uszu....

Za to kuluary... Mam pełną kieszeń wizytówek z najdziwniejszych zakątków kuli ziemskiej. Najagresywniejsi są libertarianie - nie, którzy należą przy tym do dziwnej sekty utrzymującej, że w Polsce panuje większy libertarianizm niż w USA. Oczywiście nie zaprzeczylem - gdyż z wiarą nie ma o czym dyskutować; pod pewnym względem mają

zresztą rację. A propos : ostatnia światowa konferencja libertari-
nów odbyła się w tym roku w ... Polsce! Mało co trupem nie padłem.
Libertarianie nieco się na mnie obrazili, bom skrytykował ich
pomysł wydania paru esejów o liberalizmie po polsku. Wyszło im
to ładnie, choć tłumaczenie nie najlepsze, a zecer i korektor nie
mali polszczyzny. Sęk w tym, że wstęp do tej książeczki napisał
p. Rurarz, /zbiegły czerwony ambasador/, a tłumaczyła ją p. Ewa
Rurarz. Gdy skrytykowałem postawę p. Rurarza /byłego doradcy Gier-
ka/ i wyraziłem wątpliwość, czy aby na pewno nawrócił się on na
libertarianizm - zapanała sstywna atmosfera. Bardzo żałuję, bo
ludzie ciekawi.

Skarbnikiem MPS okazał się prezes Heritage Foundation, p. Feul-
ner, Jr. Dzięki niemu podyskutuję sobie w Ameryce z młodymi kon-
serwatystami. Może przekonam ich, że p. Reagan prowadzi de facto
politykę ... p. Cartera? Za to udało mi się zasięgnąć ważkich
opinii o polskich możliwościach wyjścia z kryzysu od paru szwajcar-
skich bankierów, którzy zastrzegli sobie anonimowość.

Udzieliłem trzydziestu wywiadów nt. Polski, dzięki czemu nie-
długo wszyscy kapitaliści na świecie będą wiedzieli, że w Polsce
nie ma żadnego terroru, poza terrorem ogólnego bałaganu. Prostowa-
nie ich opinii o Polsce było tym łatwiejsze, że znaczna część
uczonych z MPS przekonana była, że Polakom rząd nigdzie jeździć
nie pozwala, a ja przepłynąłem nocą tratwą przez Bałtyk.

Pozostali wiedzą bardzo dużo, opinie mają wyważone, znają na-
szych liberałów - nawet takich, o których ja nie słyszałem. Co
świadczy, oczywiście, o rozległości i prężności naszego ruchu...

Uwaga ogólna na koniec, bo za chwilę wbijam się w smoka i le-
cę na bankiet finałowy: nie mamy się czego wstydić przed zagra-
nicą! Poziom dyskusji u nas jest bodaj wyższy, hotele równie do-
bre ... tyle, że 70 % /! / razy tańsze. Nie wiem, czy nie powinie-
nem na noc wrnąć do Polski...

Janusz Korwin - Mikke

Juliusz KOT

Związki zawodowe - pożegnanie z legendą

Trzeba rozluźnić dławiący uścisk związków zawodowych.
(Fryderyk August von Hayek)

Byłby to koniec demokracji, gdybyśmy ustąpili przed władzą
mottochu. (Margareta Thatcher o strajku górników)

Poczynianiami ludzi rządzą idee przez nich wyznawane - jeśli
liberałom z maniacką podejrzliwością szukającym wszędzie inte-
resów takie ujęcie się nie spodoba, mogą pójść na kompromis i
swoje twierdzenie nieco zmodyfikować: "Poczynianiami ludzi rządzą
idee, jakie mają oni na temat sposobów realizacji interesów".
/Mam nadzieję, że liberałowie są zadowoleni/. Siła tych idei jest
doprawdy przeogromna, są one w stanie poruszyć i natchnąć do wal-
ki miliony ludzi, skłonić ich do poświęceń i ofiar. Tkwiąca w nich
moc pryncypała jak magnes, mnoży i zwiera szeregi zwolenników, "aka-
zuje" na "cierność. Do takich właśnie idei powszechnie w Polsce
wyznawanych należy /należała?/ idea trade-unionów.

oszczędności związków mniej niż wynoszą określone przeciętne stawki, gro-
żenie pobiciem pracowników jeśli zgodzą się pracować za niższą
płacę. Z tych właśnie powodów, związkowym układom i negocjacjom
tak często towarzyszy przemoc /"Wolny wybór", Kurs 1985/. Związek
sawodowy np. w Anglii wywalczył sobie immunitet przed zaszkar-
nieniem do sądu z powodu strat wynikłych z ich działalności np.
strajku. Jest to wręcz niesłychane pogwałcenie zasady równości
wobec prawa - jednej z fundamentalnych zasad wolnego społeczeństwa.
Gdy korporacje mają możliwość kierowania gospodarką to, jak słusz-
nie zauważył Rospke, osiągamy wtedy w polityce gospodarczej "stan
nie różniący się od tego, czemu odpowiadałoby prawo linczu jako
instytucja prawa karnego" /"Kryzys społeczny zasad obecnych",
Sektory 1986/.

Jednym z głównych sposobów walki z w.sawodowych o "poprawę
położenia ekonomicznego ludzi pracy" jest strajk lub groźba jego
przekształcenia. Istotą strajku jest ograniczenie lub uniemożliwie-
nie pracodawcy swobodnego dysponowania jego własnością. Dlatego
też strajk a w szczególności strajk okupacyjny, jest samą kwin-
tesencją komunizmu. Gdy na okres strajku władza nad fabryką prze-
chodzi w ręce pracowników własność prywatna zostaje, choćby na
krótko zniesiona. Stąd też ogłoszenie strajku generalnego oznacza
powszechne wyłączenie zryły pełne i prawdziwe urzeczywistnie-
nie dyktatury proletariatu.

Zastosowanie przynusu wobec pracodawców byłoby niemożliwe bez
władzy związków nad pracownikami. Dlatego nieodwołalne staje się
wywieranie presji na tych, którzy nie chcą przyłączyć się do akcji
związkowej. Fikietowanie jest środkiem mającym na celu zastrasze-
nie "zamistralków" - zwrócić uwagę na to określenie - jest ono
typowym składnikiem nowo-mowy. Niedopuszczanie do pracy tych, któ-
rzy chcą pracować stanowi formę zorganizowanej przemyki wobec jed-
nostki i niczym nie różni się od traktowania dyssydentów w syste-
mie komunistycznym.

Po to aby utrzymać "discyplinę związkową"/analogia do "dys-
cypliny partyjnej"/ będącą warunkiem powodzenia w podejmowanych
akcjach poza posługiwaniem się naciskiem, demagogią, groźbą wy-
kluczenia ze związku a więc represją w typie "nalekiesz albo ady-
chasz" trade uniony rozwinęły własną doktrynę ideologiczną.
W skład związkowej ideologii oprócz sprymitywizowanej wersji
"ekonomii politycznej", wrogości do wolnego rynku i przedsięwzię-
ciologicznego i moralnego szantazu wobec ludzi nie chcących podpo-
rządkować się kolektywowi. Ideologia komunistyczna oparta jest na
identycznych zasadach.

Sama struktura ruchu związkowego również nie różni się wiele
od struktury partii komunistycznej. Zgodnie z zelażnym prawem
oligarchii sformułowanym przez Michelsa, nieuchronnie następuje
podział na statowy aparat związkowy /"awangarda mas pracujących"/
i masy związkowe. Żadne demokratyczne procedury, żadne formy tzw.
oddolnej kontroli nie są w stanie temu zapobiec. Głównym zajęciem
etatowych obrońców i opiekunów ludzi pracy poza organizowaniem i
kierowaniem strajkami

— bądź innymi tego typu
akcjami, jest udział w spotkaniach, zebraniach, naradach i obra-
dach, sesjach, zjazdach i kongresach. Nie zapominajmy o jakże wy-
czerpujących, be wleedniowych, negocjacjach z pracodawcami, o
świętach związkowych i co szczególnie ważne, o kontaktach z przed-
stawicielami bratnich organizacji związkowych w kraju i zagranicą.
Czym więc różnią się chłopcy ze związków zawodowych od chłopców
z kompartii? Niczym. Dlatego albo walczą z biurokracją państwo-
wą o "sprawiedliwy" podział kupów albo wchodzi z nią w porozumie-
nie tworząc, jak to ładnie określa prof. Milton Friedman "swięte
ganki działające kosztem podatnika" /"Wolny wybór", Kurs 1985/.

Wielbiciele sw.zawodowych zwykli utrzymywać, że mają one sbe-
wienny wpływ na życie społeczne łagodząc "bezlitosne" działanie
rynku, "humanizując" "abdycki i draki" kapitalizm poprzez wprowa-
dzenie doń pierwiastka moralnego. Kwestety dobroczynne skutki ist-
nienia sw.zawodowych dla moralności należą wykazanie do twórców
wybujałej fantazji dawniejszych i dzisiejszych apostołów socja-
lizmu.

Nie trzeba chyba sztytnie się rozowadzać nad niasomącym wpły-
wem jaki ma każdy kolektywizm dla moralności. Czy ktoś rozsądny
może sądzić, iż wolno mu oczekiwać od człowieka masy lub od czło-
wieka organizacji/ a takich właśnie wychowują i na takich ludziach
opierają się sw. zawodowe/ aby cenit smak wolności i rozumiał cięż-
sar od odpowiedzialności? Wszak woli on swój los powierzyć w skutek
/i mocne/ ręce związkowych liderów. Na tym przecież polega uciecz-
ka od wolności: "nie martw się o swoje interesy, pozwól niech o
nie zadbają dobrzy wujuszkowie z centrali związkowych!"

Tam, gdzie królują mentalność hordy, tam nie ma miejsca na
wolę niesależności, chęć polegania na sobie, indywidualną inicja-
tywę. Związek zawodowy będzie amorficznym tworem masowym, kaftanem
pseudointegracji, kępuje swobodny wybór wartości, które muszą
być codziennie odwiedzane w wolnej decyzji indywidualnego czło-
wieka". Trade uniony nie są "necenasem" wolności, lecz jej grab-
razem. A właśnie wolność, sama nie będąc wartością, jest warunkiem
istnienia i źródłem wartości moralnych.

Jakaś moralność pracy może się wykształcić, jeśli zawiera
się umowy z b i o r o w o a więc takie, które nie uwzględniają
j e d n o s t k o w e j odpowiedzialności?

E.H. Chamberlin w swej książce "The Economic Analysis of
Labor Power" opisuje pewien specyficzny sposób zawierania umów
/podaje za "Konstytucją wolności" F.von Hayeka/. Założmy, że A
zawiera umowę z B pragnąc sprzedać mu swój dom. Równocześnie A
może:

- unowić się ze wszystkimi innymi posiadaczami domów, że nie będą
czynili B żadnych ofert i, jeśli to konieczne, użyć wobec nich
przemocy lub zagrozić jej użyciem, aby ich przed tym powstrzymać
 - uniemożliwić B przyjęcie innych ofert
 - otoczyć dom B i odciąć zaopatrzenie w tywność
 - zatrzymać wszelki ruch z domu B tak, że gdyby ten na przykład
był lekarzem, nie mógłby sprzedawać swych usług w celu zdobycia
środków utrzymania
 - zorganizować bojkot interesu prowadzonego przez B.
- O ile A chciałby i byłby w stanie wykorzystać wymienione wyżej
przywileje niasławpliwie wzmocniłoby to jego pozycję. Nikt jednak
przywilejów posiadanych przez A nie może uznać za część "umowy".
Chyba.... chyba, że A jest ... związkiem zawodowym. Pomijam już
to, że mamy tu do czynienia z zastosowaniem czyste komunistycznej
zasady: cel uświęca środki. Istotniejsze jest chyba to, że słowo
"umowa" zaczyna funkcjonować tak samo jak w komunistycznej nowo-
mowie funkcjonują słowa "wolność", "demokracja" itp. Ten, kto obur-
za się, że ludzie z PZPR potraktowali "umowy sierpniowe" jak
zwitek papieru niech pamięta, że do zniszczenia sensu i wartości
umowy właśnie przyczyniły się związki zawodowe. To im m.in. zaw-
dzięczamy likwidację zasady wolnego kontraktu, zasady o fundamen-
talnym znaczeniu dla istnienia i rozwoju naszej cywili-
zacji.

Przykład podany przez Chamberlina z całą mocą uniaocznia nam
fakt domywania w związkach zawodowych moralności plemiennej.
Przecież każdy z pikieciarzy byłby święcie oburzony i natychmiast
wezwałby policję gdyby jakiś chuligani otoczył jego dom /albo co
gorzej zaczęli go okupować/ i nie pozwolili mu doń wejść. Gdy Kali
ukraść komuś krowę to dobrze, gdy Kalenu ukraść krowę to źle.

Świecistość moralności pieniennej, kult siły, rozpowszechnienie i utrwalenie przekonania, że można przemocą zmusić innych by byli "sprawiedliwi", zanik poczucia odpowiedzialności /tłumia je tłumne organizacje/, pogarda dla praw, uszczerbek myślenia w kategoriach kolektywnych /np. praca - kapitał/ sędziwego "dla właściwości moralnej jednostki, prymat zasady "cel uświęca środki", osłabienie lub nawet zniszczenie etosu pracy, podkopanie zwyczajów dotrzymywania umów - oto wkład związków zawodowych w rozwój moralności.

Wszystko to co napisano jest tylko rozwinięciem tezy sformułowanej przez Ludwika von Misesa w książce "Gospodarka kolektywna": "Jedną jeśli przyjęła inne formy prawne i organizacyjne jest władza kolektywna niczym innym jak naturalną i historyczną konsekwencją działalności związków zawodowych" /cyt. za M. Rojewski "Kilka uwag o demokracji", Światyś 1986 nr 1/.

Czy już tym zdaniem rozstać się z ideą trade-unionów, ideą, która oszczędzała nas swoją świeżością i dynamiką, wzbudziła nasz entuzjazm, ale która już wtedy dotknęta była śmiertelną chorobą nosząc w sobie zarodek własnego upadku. Jeśli nie odobędziemy się na to, jeśli idea trade unionów nadal będzie rządzić naszymi umysłami, to przyniesie ona i skutki niekiedy nieśmiatko tu i ówdzie idea wolności.

P.S.

Tym, którzy nie wierzą, że związki zawodowe należą do wrogów wolności zwracam uwagę, że np. strajk daje związkowcom nieograniczone wprost możliwości jej ograniczania. Sparaliżowanie komunikacji likwiduje swobodę poruszania się, strajk w handlu nie pozwala nam na kupno tego, czego potrzebujemy, strajk w drukarniach oznacza złamanie wolności słowa itd.

333

"Solidarność" od momentu swego powstania aż po dzień dzisiejszy starała się nawiązać ścisły kontakt ze związkami zawodowymi na Zachodzie i uzyskać ich poparcie, co jej się udało. Odmieniam się jednak wątpliwość czy łączenie "sprawy polskiej" z zachodnimi trade unionami przyniesie jakies pozytywne rezultaty. Współpraca ze sw. zawodowymi to według mnie inwestycja polityczna, która śladnych zysków przynieść nie może. Wręcz przeciwnie. Jeśli obrońcom wolności w Europie Zachodniej, w USA, w Azji Płd. Zachodniej i gdziekolwiek indziej na świecie uda się odepchnąć socjalizm, jeśli świecistość odniesie zasady cywilizacji zachodniej to związki zawodowe wejdą w fazę schyłku i rozkładu. Już dziś gołym okiem widać kryzys jaki przeżywają. Po co więc stawiać na konia, który zapewne przegra? Jaką sens ma inwestowanie kapitału w branżę zagrożoną bankructwem? Łatwo zrozumieć powody, dla których międzynarodowa współpraca "na płaszczyźnie związkowej" /oprócz możliwości organizowania międzynarodowych strajków/ jest tak popierana przez działaczy. Mają oni wówczas okazję i dobry pretekst aby wysyłać delegacje za granicę składać wizyty /z bardzo bogatym programem/, powoływać wspólne komisje w celu wspólnego rozwiązywania nabrańskich problemów "dziata pracy", tworzyć komitety, komisje i międzynarodowe centrale /dotąd się do takiej centrali to marzenie każdego działacza/. Gorącymi zwolennikami współpracy z bratnimi organizacjami związkowymi są ci działacze, którzy liczą na etaty w komórkach d/s kontaktów z zagranicą. Im bardziej te kontakty są ożywione, tym większe potrzeby kadrowe tych komórek. Ale związki zawodowe na Zachodzie nie tylko dla tych prozaicznych przeciw powodów popierają "Solidarność".

Na przełomie lat 70-tych i 80-tych oznaki kryzysu "w łonie ruchu związkowego" były już całkiem wyraźne. Powstanie "Solidarności" było dla biurokracji związkowej na Zachodzie prawdziwym pretekstem urodzinowym /jeśli oczywiście ktoś ciężko chory jest w stanie obchodzić urodziny/ pozwoliło bowiem tuhnąć nieco ducha w słabnącą ideę i nieco entuzjazmu w pogrążone w zarazmie "masy związkowe". Aparatczycy związkowi na Zachodzie wykorzystali popularność "Solidarności" w akcji reanimacyjnej. Operacja udała się, pacjent jeszcze oddycha. Powstanie "Solidarności" a nie jeszcze bardziej jej rozgromienie przez żołnierzy p.gen. Jaruzelskiego były dla działaczy trade unionów bodźcem do wzmożenia "pracy organizatorskiej i ideowo-politycznej" nakierowanej na emocjonalną mobilizację "mas związkowych". Poprzez wykorzystanie sympatii jaką opinia publiczna na Zachodzie darzyła RZZ "Solidarność" związkowcy pragnęli poprawić swój własny image. W ich propagandzie "Solidarność" miała uosabiać żywotność idei trade unionistycznej i zacierać syntyzy jej powolnej agonii.

Nadszedł czas aby z odwagą i bez iluzji spojrzeć w przyszłość. Trzeba zastawić zachodnich związkowców sam na sam z ich problemami. To nie "Solidarność" powinna zabiegać o ich pomoc, to oni powinni starać się o to, żeby "Solidarność" zechciała ją przyjąć. Mają przecież wobec "Solidarności" olbrzymi dług wdzięczności do spłacenia.

JULIUSZ KOT

Adam T. Bąkowski

LEWICA

Mał nami lewica dzierży władzę,
Choć miała tylko ją mied w dzierżawie.
Skąd nazwa 'lewica'? Chętnie odradzę,
Źródłołów jest prosty: to bez-prawie.

ALEKSANDER PASZYŃSKI *)

Trudna faza gry

Czy 11 września 1986 r. stanie się cenzurą w walce o poszerzenie praw społeczeństwa i możliwości niezależnych działań? Strasznie trudno odpowiedzieć na to pytanie. Powojenna historia zna przecież podobne zapowiedzi odwilży zakazowane całkowicie odmiennie, niżby to wynikało z wiele obiecującego ruchu otwierającego gry; wystarczy przypomnieć amnestię z 1947 r. i niedługo po niej następujące masowe i tragiczne działania skierowane przeciw "podziemiu", jak i wówczas propaganda określała każdą próbę bardziej niezależnej myśli. Nie ma pewności, iż podobny wariant wydarzeń nie zostanie powtórzony, choć znakomicie więcej symptomów wskazuje, iż rzeczywiście pojawiła się jakaś szansa, a w każdym razie, że wszelkim w nowy, niezwykle arcytęży trudny etap gry o przyszłość. Oraz, co może najważniejsze, jej rezultat

zależy w stopniu większym niż kiedykolwiek od zachowania się drugiej strony, a nie tylko od widzimisię władzy. Kimo, że władza tę rozgrywkę rozpoczęła, a w każdym razie rozdała karty.

Motywy decyzji

Chcę być dobrze zrozumiany: nie podzielałem optymizmu, czy raczej jego motywacji, jakim większość podziemia i jego działaczy przyjęła decyzję "usamiania szkodników", jak często określa się ten akt. Komentarze głoszące, że było to "nasze zwycięstwo", dowód słabości władzy czy choćby tylko uświadomienia sobie fiaska dotychczasowej jej polityki, wydają się bowiem co najmniej wątpliwe, choć prawda jest, iż władza - mimo korzystnych dla niej okoliczności jakie stworzył stan wojenny i okres po nim następujący - nie zdolała usunąć żadnego /politycznego, społecznego czy gospodarczego/ czynnika kryzysogenego. Ale to wcale nie oznacza iż władza musi szukać porozumienia, nadal na ona dostatecznie dużo siły i możliwości utrzymywania społeczeństwa w ryzach przy użyciu tych samych metod, jakimi posługiwała się uprzednio. Wybór scenariusza "miękkiego" jako alternatywy musiał więc wynikać ze spłotu okoliczności i motywów trudnych jeszcze do całkowitego rozszyfrowania. Spróbujmy jednak to zrobić, bowiem od tego zależy nie tylko odpowiedź na kluczowe pytanie: co dalej?, ale także: jak grać?

Pierwsze i podstawowe założenie, jakie przyjął trzeba przy próbach odpowiedzi na powyższe pytania brzmiało tak: nie była to autonomiczna decyzja władz kraju. Zbyt to nietypowe dla systemu, zbyt nieoczekiwane, by mogła decydować o tym Warszawa jedynie. Więcej nawet: jest to decyzja dla systemu zbyt ważna, by uzasadniały ją wyłącznie racje, czy interesy polskie. Inaczej mówiąc: zwolnienie więźniów politycznych bez warunków wstępnych musiałoby stanowić element polityki Gorbaczowa, którego etapem jest Reykjavik, a cel dalszy ciągle nie jest całkowicie oczywisty, wiąże się bowiem nie tylko z zewnętrzną, ale także wewnętrzną rozgrywką radziecką. Być może nawet przyspieszenie decyzji z 11 września /a była ona niewątpliwie przyspieszona/ wiązało się z szumem opinii światowej po aresztowaniu amerykańskiego dziennikarza Daniloffa. Można sądzić, iż prowokacja ta nastąpiła bez wiedzy Gorbaczowa, była mu nie na rękę i potrzebny był gest neutralizujący wrażenie, jakie wywołało w świecie to aresztowanie.

Motywy wewnętrzne, "polskie", takie jak zbliżające się rokowania finansowe z Zachodem, ostateczne zniesienie sankcji amerykańskich, choć przyspieszenia wizyty Jaruzelskiego w Rzymie i faktycznie, a zwłaszcza pogarszająca się sytuacja gospodarcza itp. - za chwilę wrócę do niektórych z tych motywów - miały, jak sądzę, charakter wtórny a nie sprawczy. Świadczą o tym właśnie brak ustalenia ceny za ten gest. Nawet zniesienie sankcji nie było automatem, zwolnień nie poprzedziła też próba ustalenia warunków na jakich będą funkcjonować wypuszczeni z więzień i ukrywający się jeszcze przywódcy podziemia.

Idąc dalej tym samym tropem można zaryzykować supozycję, iż generalną aprobatę dla amnestii i rozpoczęcie realizacji scenariusza "miękkiego" Jaruzelski uzyskał jeszcze przed 12 lipcem 1982r; ten zjazd miał przede wszystkim sformalizować etap normalizacji oraz rozwiązać kwestie personalne i statutowe w partii. Zdecydowana większość komentatorów wskazywała również na wyraźną otwartość programowych dokumentów tego zjazdu i wiele furtkę prowadzących w różne strony, jakie on stworzył.

Zjazd wyraźnie umocnił też pozycję Jaruzelskiego i stał się okazją do zademonstrowania spektakularnego poparcia, jakiego udzielił mu Gorbaczow. Było więc oczywiste, że nowy sezon jesienny będzie interesujący. Tak też się stało. I tym, że start nastąpił ze względu na jakichś pisańkach wyżej, szybciej oraz okazał się bardziej radykalny, niż można było oczekiwać.

Tak zapewne przedstawiają się - w największym skrócie aferaferowane - motywy zewnętrzne, najważniejsze. Obok nich oczywiście występowały racje wewnętrzne. Do najważniejszych z nich należy zaliczyć przede wszystkim sytuację gospodarczą. Zbyt wiele się o niej mówi i pisze, by istniała potrzeba jakiegś powściągliwszego rekapitulacji. Elementem nowym jest jednak to, że świadomość, iż wszystkie dotychczasowe opowieści o przełamywaniu kryzysu okazały się złudne, dociera do coraz szerszych kręgów władzy. Zapewne wie ona już, że wchodzący w drugą fazę kryzysu, że nie udało się rozwiązać żadnego ze strukturalnych problemów gospodarki oraz, że nie sposób nawet opracować w sposób satysfakcjonujący planu pięcioletniego. Zwiększona dramatyzacja handlu zagranicznego jest oczywista - nie ma szans spłaty nawet części odsetek sprotelongowanych rat kredytu i to mimo drastycznego ograniczenia importu zaopatrzeniowego, co przecież rykoszetem musi ugodzić w przemysł, który bez zasileniaewnętrznego funkcjonować nie może. Powstaje błędne koło: przerwać je może jedynie kolejny zastrzyk dolarowy. Władze liczą na MFN, zdają sobie jednak sprawę, że pomocy z tej strony towarzystyć będą ostre zalecenia stabilizacyjne, trudne do zaakceptowania przez społeczeństwo. Potrzebny jest więc co najmniej spokój wewnętrzny, choć lepiej byłoby uzyskać tyro na wekslu, jaki trzeba będzie wystawić.

Do tej grupy motywów należy także zaliczyć planowane wizyty zagraniczne Jaruzelskiego i innych polityków rządowych; ich celem jest oczywiście nie tylko "powrót" Polaki na arenę międzynarodową, ale przede wszystkim zdobycie planistycznych kontaktów ekonomicznych i możliwości eksportowych. Szczególną rolę odgrywa tu zapowiadana wizyta ze Włochami i w Szwajcarię - chodzi zapewne o to, by zaproszenie Jana Pawła II miało nie tylko kościelny charakter. Można wyliczyć jeszcze kilka, równie ważnych powodów skłaniających władzę do wyboru scenariusza "ciężkiego".

Stawka w banku

Jaki to jednak scenariusz? Nie potrafię na to odpowiedzieć, ale podziwiam się, iż zapewne nikt nie zna odpowiedzi precyzyjnej. Nie sądzę zresztą, by ona istniała, w grę wchodzi zapewne kilka jego wariantów, a raczej ich autorzy mają opracowane kilka najbliższych ruchów, następne zależą będą najprawdopodobniej od rozwoju sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej, a także od reakcji na nie społeczeństwa, w tym również odrodków opozycyjnych czy niezadowolonych. Przekonanie, że tak właśnie jest sprawa, iż stale uszyska określenia: gra. Bo jest to rzeczywiście gra, tym trudniejsza, iż przecież karty w niej są znaczne, tyle, że ona je tylko jeden uczestnik. Najmniejszą byłoby uznać, że gra on w sposób ciępy.

Siadając więc do stołu /symbolicznego, bo przecież forum negocjacji brak, trzeba pamiętać, że fałszywe karty roznosi szuler, iż przystąpić on do gry z zakazaniem, że ma oszukać oraz, że w każdej chwili może tę grę przerwać, a nawet wyciągnąć pistolet kuliści oficjalnie, że to ciępy czy...

Może więc nie podjąć gry? Wcale nie uważam, iż byłoby to stanowisko naganne, wręcz bowiem przemawia za tym, iż kosztowny oszukiwanie, ale jednocześnie sądzę, że trzeba zaryzykować. Na wycofanie się jest zawsze czas, a być może okoliczności niezłazne od

nas i zważając na władzę sprawią, iż toczył się ona będzie w warunkach korzystniejszych, niż posiada doświadczenie. Chodzi jednak o to, by grać świadomie i by nasze atuty mniej opierały się na kryteriach moralnych, a bardziej na przesłankach - ogólnie mówiąc - pragmatycznych. Oraz aby licytować ostrożnie, stale obserwując reakcję partnera i nie wyklądać przedwczesnie własnych kart, częściej stosując odyski: pas lub czekam, niż kontra lub sprawdzam, aby trzymać się kartowanej terminologii.

Żeby jednak grać, trzeba sobie wyobrazić nie tylko kartę przeciwnika, ale także jego taktykę i cel, jaki sobie nakreślił. Jeśli o pierwszy aspekt idzie /sila karty/ to każdy z nas na swoje na ten temat wyobrażenia - nie chce się o nie spierać. Jeśli o taktykę idzie, to jest ona wyraźna - salicytował wysoko i czekał na reakcję, odpowiadając w zależności od jej charakteru, co brutalnie da się określić jako metodę podpuszczania. A cel? Ten jest prosty: wygrać jak najwięcej, ustępując jak najmniej, dokładnie tyle, ile będzie konieczne. A więc pozostawić własne imperium w miarę niezmuszone, osłabiając w maksymalnym stopniu przeciwnika, cofając się tylko na tyle, by nie naruszyć podstaw własnej przewagi.

Założenie, jakie zapewne przyjął władza - oddać jak najmniej - oznacza jednocześnie, iż nie ma ona sprecyzowanych korekt modelu funkcjonowania społeczeństwa, na jaki może się zgodzić. Na nic sondaż się więc argumenty, iż np. pluralizm związkowy na niskim szczeblu, czy jakikolwiek inny pluralizm, istnienie niezależnych pism, organizacji, struktur, samodzielnych przedsiębiorstw, sektora prywatnego, towarzystw kulturalnych czy regionalnych - przykłady można mnożyć bez końca - nie stanowią zagrożenia dla władzy. To nam się tylko tak wydaje, władza sama z siebie nie ustąpi na krok z pozycji, jakie posiada i jakie uznaje za atrybuty swego imperium. Może to oczywiście uczynić /czy na stałe? - to kolejne pytanie na jakie nie ma odpowiedzi/ ale tylko pod moim kątem i za cenę, jaką uznaje za korzystną dla siebie. Ale nie będzie negocjował kształtu docelowego modelu... funkcjonowania społeczeństwa czy państwa, w najlepszym razie zgodzi się na grę o kolejne modyfikacje istniejącego, który dla niej jest przecież znakomity!

Oto też powód, dla którego gra jest tak trudna i jednocześnie dla którego nie sposób nie zasiać do niej. Alternatywą jest bowiem petryfikacja modelu obecnego, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Chyba, że uznaje się filozofię, że "im gorzej tym lepiej". Być może jest to nawet, mimo pozornej absurdalności, filozofia rozsądna, ale jednocześnie strasznie trudno ją zaakceptować. Na tym też polega pewna przewaga władzy: ona może się wycofać z gry w każdej chwili, bowiem potrafi - jak dowodzi praktyka - znakomicie funkcjonować bez społeczeństwa. Odwrótne sytuacja jest już znacznie trudniejsza do wyobrażenia. Taka jest stawka.

Granice ustępstw

Spróbujmy sobie jednak narysować granice ustępstw władzy, lub ściślej to, co jest ona skłonna oferować za akceptację jej punktu widzenia. Jej ustępne, wywoławcze, oferty są dość czytelną. Myślę np., że kościołowi jest ona gotowa przyznać statut prawny - być może - wrócić do rozróżnów na temat fundacji rolnej. Akceptować budowę kolejnych kościołów, nawet ustąpić co nieco w kwestii programów szkolnego religioznawstwa. Zgodzi się na włączenie Odszeka lub Świeciana do programu kolejnej wizyty Papieża w kraju. Zapewne w grę wchodzi także zapewnienie Episkopatowi większego wpływu na Caritas, funkcjonujący dotąd w orbicie PAX-u.

większe szanse rozwoju zakonów i parę podobnych ustępstw. Czego natomiast władza oczekuje z zamian? Przede wszystkim zamknięcia parasola nad strukturami podziemnymi i niezależną kulturą oraz - co szczególnie dla niej ważne - pośrednictwa w rozmowach z opozycją, a nawet wpływu na jej postawy w kierunku oczywiste ich inagenderania.

Znacznie trudniej przedstawić podobne zamysły wobec opozycji - używam tego określenia mimo jego nieprecyzyjności, bowiem brak lepszego, równie lapidarnego. Z oficjalnym emuncjacji da się wyczytać kilka propozycji: strażnicy praw konstytucyjnych, nowa ordynacja wyborcza, jakieś pisma niezależne, ale przede wszystkim okrzykana Społeczna Rada Konsultacyjna przy Radzie Państwa, a może nawet bezpośrednio przy jej przewodniczącym. W istocie to ostatnia sprawa jest najważniejsza. Władzy wydaje się, że potrafi stworzyć takie ciało, w miarę reprezentacyjne, które jakby zastąpi nielegalne struktury, a w każdym razie stworzy formy negocjacji z środowiskami, jakie dotąd łączyły się z opozycją.

Taka Rada potrzebna jest władzy co najmniej z dwu powodów: po pierwsze, by osłabić secesyjny dotąd układ, w którym jej jedynym z konieczności partnerem jest Kościół; po drugie, by w ten sposób stworzyć przynajmniej pozor pluralizmu i to - wbrew przypuszczeniom opozycji - nie na najniższym, ale właśnie na najwyższym szczeblu, tyle, że oczywiście bez powstania struktur pośrednich. Inaczej mówiąc ew. członkowie tej Rady, reprezentować z niej mają tylko siebie, być może swe środowiska, ale nie ruchy polityczne i im podobne. Tak więc dla władzy to, co mogłoby być początkiem tworzenia pluralizmu porozumienia, ma stać się jego finałem, punktem końcowym.

Tak zapewne układają się optymistyczne założenia scenariusza władzy. Myślę jednak, iż takie sobie ona uprawia, iż byłoby zbyt pyknie, gdyby dało się osiągnąć stan dla niej najkorzystniejszy i musi się ona liczyć z wariantami mniej ją satysfakcjonującymi. Jej cel jest jednak wyraźny: musi ona rozbić podziemie, ośrodek jego okrzyków wciągnąć do legalnej działalności /tworząc dla niej odpowiednie placówki/ i oddzielić od nich grupę nieprzejednaną. Najlepiej oczywiście gdyby te różne grupy były względnie ze sobą skrócone i obrzucały się błotem. Krótko mówiąc władza nie może w swym scenariuszu gry założyć, iż uda jej się totalnie zlikwidować opozycyjną działalność, nielegalnie i towarzyszącą jej podziemny ruch wydawniczy, choć natomiast minimalizować ona to zjawisko i sprowadzić je do wymiaru z końca lat siedemdziesiątych.

Warunkiem powodzenia takiego /czy podobnego/ zamysłu jest jednak stworzenie jakiś pól legalnego działania dla tej części obecnej opozycji, która skłonna będzie zaakceptować nowy modus vivendi. Będzie ich tym więcej, lub tym będą one szersze, im skuteczniej opozycja przeprowadzi własną rozgrywkę. Widzę pewnie jej szanse i dlatego sądzę, że do gry usiadł jednak warto. Pod warunkiem, iż od początku wiadomo będzie o co się gra i jak tę rozgrywkę przeprowadzić. Obawiam się jednak, że na razie tej jasności nie ma.

Upoważnia do tego pierwsza reakcja kręgów opozycji na decyzję z 11 września. Spotkała się ona z nadmierną euforią i zbyt szybką reakcją. Można było sądzić, zwolnienie więźniów samo przez się było tylko zapowiedzią intencji, ale przecież niczego nie tworzyło. Myślę np., że już w pierwszej fazie można było doprowadzić do zebrania się Krajowej Komisji "S" w pełnym składzie. Za jaką cenę? Nie potrafił oczywiście jej pociąć, ale zaryzykując: może za cenę zawiązania działalności związku do czasu wyklarowania się sytuacji i przy utrzymaniu do tego momentu wszystkich jego podziemnych struktur? Zapewne władza domagałaby się jednoczesnego

rozwiązania zagranicznych ekspozytur "S", ale może nawet korzystniejsze byłoby powstanie zagranicznej "S" skupiającej działaczy emigracyjnych, niekoniecznie grupującej tylko ostatnią jej falę.

Wymieniam te pomysły na zasadzie głośnego myślenia, zapewne znalazł by można inne, lepsze. Chodzi mi tylko o to, że przedwczesne - jak sądzi - utworzenie gdańskiej rady i podobne decyzje wielu regionów, a nawet ujawnianie się części struktur podziemnych "S" były przedwczesne i ułatwiły władzy silną kontrolę na zasadzie oskarżenia o obłąd powrotu do sytuacji sprzed Grudnia, co nie jest wygodnym punktem dla obecnej fazy gry, acz zapewne powinno być zaznaczone jako cel strategiczny. Wolałbym na początek odłożyć orzekanie. Może przyspieszyłaby ona kolejny ruch drugiej strony? Dalsz wika jest w naszym polu i trzeba ją wybić.

Poczytane obiekty nie mają na celu rozdzieranie szat - wszystkim jasne przed nami, gra będzie zapewne długa i obfitująca w różne zakręty. Chodzi mi jedynie o wykazanie potrzeby rozważań i uniknięcie pośpiechu. Niestety, z różnych stron słychać nawoływania do przyspieszenia działań, występowania z różnymi inicjatywami, zakładania organizacji, pism czy klubów. Myślę, że ów pośpiech bardziej leży w interesie władzy, niż społeczeństwa. Jeśli używamy tylko przemocy, to skorzystam jeszcze raz z tej metody: należy zachować się tak, jak na wschodnim bazarze, a nie jak w angielskim parlamencie; najpierw trzeba się potargować, podpatrzeć co się dzieje w konkurencji, nawet udawać, że transakcja mało kogo interesuje i podejść do decyzji w najkorzystniejszym momencie.

Komu bowiem bardziej zależy na pośpiechu? To przecież nie społeczeństwo proponowało grę i nie ono wyznaczyło jej stawki. Może się więc okazać, iż za te same pieniądze kupił lub wytargował da się więcej, choć dalsz wydaje się to mało realne?

*) Jest to niesutrzyszony tekst wypowiedzi wygłoszonej w połowie października 1986 r. w czasie jednej z licznych dyskusji, jakie wywołała decyzja zwolnienia więźniów politycznych.

Adam T. Bąkowski

TAKSÓWKARZ

"Czy jest pan wolny?" - zapytał taksówkarza.

Bluznął mi w odpowiedzi nazwiskami Platona, Arystotelesa, Spinozy, Kanta, Hegla, Hayeka i Kołakowskiego, i odjechał pusty.

PIEKARZ

"Chleba!" - tak do piekarza darłem się w złości.

On, wielce rozmarzony, odparł: "Wolności..."



Z listu JULIUSZA SŁOWACKIEGO

do Teofila Januszkiewicza.

"...Co zaś do kupna i przykupowania ziemi, najmocniej się temu oporuje w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, by go w ostatecznym skrym rozcie z pracy rak własnych mógł wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżające się najbliższej do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego i w wolności połączonej z potęgą. A ta wolność jest w skrzyślach, a skrzydlami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały.

Panowie nasi najwięksi ziemi są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że je w każdym dniu mogę na jaki bądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przeemocą zasłonić się nimi.

Ziemia o b s z e r n e robią Cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi ani o naród Twój. Gdy przeciwnie, w kapitałach mając nadmiar Twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, który za nie odpowiada. Mimowolnie musisz dobrze żyć z każdym ze współżyjących.

Gdy Cię chce ktoś ujeździć, one Cię uniosą przed nim i stawiają niby na gwiazdach, z których znów ujeździ cię Twego piorunujesz. Gdy chcesz kogoś uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz, a Twojej miłości zadość uczynić".

Paryż, w lutym 1848 r.



Po pięciu latach...

Dopiero pięć lat temu zakładaliśmy Narodową Federację na rzecz Wolnej Gospodarki - a już rocznicę tę obchodzimy ze smutkiem. Odszedł od nas jej Senior prof. Edward Lipiński.

Jego nazwisko wśród Sygnatariuszy Deklaracji naszej Federacji budziło zdumienie - podobnie jak wywiad, którego udzielił mniejszości w tym samym czasie. Profesor bowiem był przez całe życie socjalistą. Jednak do końca zachował trzeźwy umysł. - i był otwarty na informacje ze świata. Doświadczenie przekonało Go, że z tym wyśnionym i zaplanowanym socjalizmem coś jest nie w porządku...

Nie piszę tego po to, by odbierać postać Profesora lewicy. Przez całe życie związany był z tym obozem - i niech już tak pozostanie. NFGW nie była zresztą pomyślana jako impreza ideologiczna lub polityczna. Można bowiem być zwolennikiem wolnego rynku i pozostać socjalistą. Podobną jak prof. Lipiński ewolucję przechodziła obecnie socjalista z Ameryki łacińskiej. Deklarację NFGW podpisali różni ludzie: od "czerwonych" przez "różowych", "szółtych" zielonych - aż po całkiem "czarnych"

BNFG chciała działać na polu czysto gospodarczym. Wierzącą szeroką naradę chcieliśmy zorganizować w styczniu 1982 roku. Jak wiadomo - było to niemożliwe. Czy w obecnych warunkach jest możliwe reaktywowanie Federacji? To zależy od stosunku władz - taka działalność nie może być prowadzona pod ziemią!

Profesor Lipiński odszedł na zawase. Przed kilkoma tygodniami zmarł również doc. Jerzy Łojek, wybitny historyk i publicysta. Inni sympatyzujący wyjechali. Niektórzy - jak prof. Arkadiusz Górniak, który polecił na początku nie małe zasługi - uznali, że "idea nie obowiązuje" - więc kontynuować jej nie warto. Być może. Warto jednak pomyśleć o tych, którzy w takich gorących dniach myśleli o tym, by Polska w przyszłości przestała być podmieśnikiem dla świata ...

Poniżej przytaczamy tekst deklaracji powstałej we wrześniu 1981 roku Narodowej Fundacji na rzecz Wolnej Gospodarki.

Deklaracja

My, niżej podpisani, odwołujemy się do wspólnego celu: ratowanie będącej na skraju katastrofy polskiej gospodarki - i wiara, że podstawową przyczyną kryzysu jest upadnięcie produkcji; że wobec głębokości kryzysu niezbędna jest natychmiastowa i radykalna zmiana stosunków produkcji; że wobec rozburowanego ruchu pracowniczego zmiana ta musi iść w kierunku uspołecznienia i usamodzielnienia producentów; że sabotowanie reformy skończy się wybuchem usprawiedliwionego gniewu ludu lub długimi latami stagnacji przy zagrożeniu podstaw naszego bytu.

Łącząc nas niewiara, iż reformę może wprowadzić aparat biurokracji, zapatrzony w swe posady i wysłany kategoriami skostniałych, niedostosowanych do wymagań nowoczesnej produkcji doktryn. Potrzebny jest wysiłek kierowany racjonalną myślą i podjęty przez realne siły działające w żywych strukturach. Niniejszym AKTEM powołujemy więc:

NARODOWĄ FEDERACJĘ na rzecz WOLNEJ GOSPODARKI

Federacja jednoczyć będzie zarówno kluby i instytucje szerzące nowoczesne idee w ekonomii - jak i samorządnych producentów, już obecnie rozluźniających gorset biurokracji i prowadzących działalność gospodarczą w oparciu o zdrowy rozsądek. FEDERACJA zapewni im instruktaż, pomoc prawną oraz wymianę użytecznych informacji; prowadzić będzie kursy i wykłady propagujące ekonomię zdrowego rozsądku; popierać inicjatywy samorządu połączonych z indywidualną odpowiedzialnością.

Kryzys państwa nie przeszedł społeczeństwa, przeciwnie: może stać się bodźcem do naprawy. Od nas zależy, czy zryw ten ograniczy się do niszczenia; do pracy w marnotrawnym ja systemie; czy też dojsze do zmiany struktur na normalne. Ten ostatni cel jest w naszym zasięgu - trzeba tylko oświecić i wyrwać się z sakilego kręgu myślenia kategoriami gospodarki państwowej.

TO MUSI SIĘ NAM UDAĆ!

Leszek Chmielewski
Jarosław Chotodecki
Arkadiusz Górniak
Gabriel Janowski
Stefan Kisielewski
Janusz Korwin-Mikke
Zygmunt Krzyżewski

Stefan Kurowicz
Edward Lipiński
Jerzy Łojek
Tadeusz Majewicz
Andrzej Masur
Jacek Maziarz
Andrzej Nałęcz-Jawecki
Edmund Nowak

Andrzej Ostoję-Owsiński
Aleksander Paszyński
Ernest Skalski
Kazimierz Sowa
Janusz Tymowski
Jan Wankiewicz
Adam Wojciechowski



KONSERWATYWNO-NARODOWE

Franciszek
LEŃSZYK

TRUBADUR WSPÓŁCZESNEGO LIBERALIZMU

Myśl ekonomiczna Zachodu była przez prawie pół wieku zdominowana przez szkołę keynesowską i jej ideę interwencjonizmu państwowego, jako panaceum na bezrobocie i stagnację ekonomiczną. Od kilkunastu następnych lat obserwujemy przełamywanie tego potężnego monopolu intelektualnego i narastającą falę odrzadzania się nurtu liberalnego w teorii ekonomii. Bardzo spektakularnym przejawem tej fali było uhonorowanie Nagrodą Nobla trzech wybitnych przedstawicieli liberalizmu: Friedricha von Hayka, Milтона Friedmana i Gerarda Debreu.

Idee liberalizmu szybko przekroczyły ściany gabinetów naukowych i zaczęły rozprzestrzeniać się oraz podbić sposób myślenia szerokich warstw społeczeństw zachodnich. Wzrosła stagnacja, inflacja i bezrobocie, z którymi nie potrafili uporać się kolejne, coraz to liczniejsze elity biurokracji państwowej - oświadczyły ideę socjalistycznej regulacji życia gospodarczego. Fala neo-liberalizmu nie ograniczyła się przy tym - co najważniejsze - do sfery czysto duchowej, ale zaczęła działać w sferze działań praktycznych: gospodarczych i politycznych, które przeobraziły praktykę funkcjonowania szeregu czołowych społeczeństw Zachodu. U progu lat osiemdziesiątych społeczeństwa Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Danii, Belgii, Holandii, RFN i wreszcie już Japonii - serwały z iluzją socjalistyczną i pokusami socjalizmu, powołując do władzy partie liberalne i konserwatywne. Procesowi temu towarzyszyły - zwłaszcza w USA - zjawiska samoorganizowania się społeczności lokalnych na zasadach liberalnych, rozwój inicjatyw gospodarczych, wzmocnienie własności prywatnej, reprivatyzacja szeregu przedsiębiorstw publicznych itp.

Książka Guy Sorman "Rozwiązanie liberalne" - ten francuski bestseller, za który autor otrzymał w roku 1984 Nagrodę Opoczyni - jest swobodnym zapisem wyprawy autora w dziedzinę utopii i praktyki liberalnej oraz - raczej marginesowo - w dziedzinę teorii liberalizmu. Bo też nie zamierzał Sorman ani otwierać po raz kolejny debaty teoretycznej, ani dorzucać do sporu między uczonymi o orientacji liberalnej i "keynesowskiej".

Przemierzył natomiast w ciągu niespełna roku 14 krajów i rozmawiał z wieloma wybitnymi uczonymi, biznesmenami, politykami i związkowcami, by opisać fenomen odrodzenia się liberalizmu w świecie zachodnim, wyjaśnić źródła tego odrodzenia i ukazać motywy najbogatszych kolekcji przykładów praktyki funkcjonowania rozmaitych projektów i rozwiązań gospodarczych inspirowanych liberalizmem.

W swej książce Sorman nie stosuje ani porządku chronologicznego, ani geograficznego, lecz organizuje ją wokół pewnej osi logicznej: od rekonstrukcji zasad teorii liberalnej, poprzez opis praktycznych doświadczeń współczesnego liberalizmu, przechodzi do propozycji projektu społeczeństwa liberalnego.

Liberalizm opiera się na kilku jasnych zasadach. Przede wszystkim zaś - pisze Sorman - "wszędzie, w każdych okolicznościach na pierwszym miejscu stawia osobę ludzką przeciwstawiając ją Państwu". Liberalizm uznaje też wyższość porządku spontanicznego nad porządkiem zadekretowanym - wszelki postęp jest wynikiem wyobraźni tworzącej jednostek nie zaś planowania państwowego. Znaną swą technologię świat przemysłowy, w którym żyjemy jest rezultatem indywidualnych inicjatyw, narzeczonych w ciągu wielu wieków. Zbudowaliśmy świat przemysłowy i dokonaliśmy tego bez planowania. Własność prywatna, wolna przedsiębiorczość i wolna wymiana, które stanowią podstawę wzrostu gospodarczego i bogactwa narodów nie zostały zadekretowane ale wypracowane doświadczalnie.

Zasady te ujawniają całą zwodniczość porządku planistycznego, całego "dekrzynizmu" socjalistycznego, który zakłada, że można zaplanować nad prawami postępu i zbudować społeczeństwo zgodnie z wytyczonymi planem. "W rzeczywistości nikt nie jest wystarczająco inteligentny, by ponownie wynaleźć świat" - pisze, inspirowany myślą Hayka, Guy Sorman.

Hipertrofia, prawodawstwa państwowego dawno przestała już służyć ochronie słabszych, a stała się raczej formą powszechnego zniewolenia i ucisku. Rozbudowane systemy opieki społecznej i ekonomicznej zainicjowane w dobrej wierze, rodzą trwałe postawy uzależnienia szeregu zbiorowości społecznych od państwa, przyczyniając się wręcz do powstania swoistych gettów biedoty i ubóstwa /np. sytuacja czarnej ludności w USA/. Liberalizm przyjmuje zatem postawę nieufności wobec prawa.

Klasyczny liberalizm był teorią wzrostu samego w sobie w przedświadczeniu, że wszystko się ułoży dzięki magicznym zaletom wolnego rynku. Ale wzrost rodzi napięcie i nierówności społeczno-ekonomiczne. Socjalistyczny ideał równości i sprawiedliwości społecznej bez wzrostu gospodarczego prowadzi jedynie do dzielenia ubóstwa, do systemu przymusowej reglamentacji, opieki i nadzoru. Postawa liberalna natomiast polega na pozostawieniu społeczeństwu swobody funkcjonowania i niesieniu bezpośredniej pomocy tym, którzy jej naprawdę potrzebują. Nowy liberalizm na zatem najzupełniej praktyczną ambicję pogodzenia wzrostu gospodarczego i solidarności.

Trzy są zatem według Sormana - fundamentalne zasady nowoczesnego liberalizmu: wyższość porządku spontanicznego, nieufność wobec prawa i obowiązek solidarności.

Spektakularne zwycięstwa wyborcze partii liberalnych i konserwatywnych w niewielkim tylko, albo w ogóle żadnym stopniu przyczyniły się do realizacji zasad liberalnych. Po czterech latach wystąpienia antyetatystycznych wyznań federalne za prezydentury Reagana wzrosły z 27,8% do 31,8% dochodu narodowego, a państwo kwitnie pod rządami liberalnej prawicy, podobnie jak pod rządami socjal-demokratycznej lewicy.

Dzieje się tak za sprawą Nowej Klasy - państwowego systemu zorganizowanych interesów jednostkowych. Członkowie Nowej Klasy - biurokraci, urzędnicy i politycy nie są bezinteresownymi świętościami, ale normalnymi ludźmi, mającymi ambicje rozszerzenia swoich uprawnień, powiększania poborów i autorytetu oraz mnożenia interwencji. Byłoby naiwnością oczekiwać od Nowej Klasy, że z własnej woli dokona samolikwidacji. "Liberalni" politycy rzadko bywają liberałami.

Antyetatystyczna retoryka nie wystarcza zatem do obalenia onipotencji biurokratycznej Nowej Klasy. Państwo - pisze Sorman - to nie mury Jerycha, by mogło упаść od decia w trąby. Nic nie jest dalsze od liberalizmu, jak nadzieja, że to jakiś rząd wprowadzi reguły liberalne. Liberalizm zakłada nieufność do polityków - należy ich raczej pilnie nadzorować aniżeli wspierać.

Liberalizm nie spada więc z nieba. Zdobywa się go bez hałasu, jak to robią liczne rzesze przedsiębiorców i dynamicznych spółek poprzez swe własne inicjatywy. Szansą liberalizmu jest wzrost liczebności i znaczenia elit gospodarczych, tych "aktywistów gospodarki", których łączą pragnienie nowych sfer aktywności gospodarczej i bogactw oraz duch przedsiębiorczości, inicjatyw, ryzyka, innowacji i eksperymentu.

Guy Sorman przemierza więc świat w poszukiwaniu owego realnego liberalizmu: jak funkcjonuje, jakie projekty oraz rozwiązania proponuje i realizuje, jakie przynosi efekty gospodarcze i społeczne, jaki wreszcie typ umysłowości rodzi czy odradza. Książka przynosi wiele pobudzających kontrowersje - wyobraźnię przykładów inicjatyw liberalnych, po części znanych już z poprzedniej książki Sormana "Revolucja konserwatywna w Ameryce", tłumaczonej i opublikowanej wcześniej w Wydawnictwie "Kura".

Oto niektóre z bogatej listy przykładów:

- National Freight Consortium - angielskie towarzystwo transportowe, utworzone w 1968 roku i zprivatyzowane w roku 1981, a ściślej mówiąc: sprzedane załóżce, która wykupiła akcje przedsiębiorstwa. W ciągu dwóch lat firma, która chyliła się ku upadkowi, przekształciła się w kwitujący interes, podwajając 2,6 razy wartość akcji.

- Scottsdale w Arizonie, gdzie strażacy nie są funkcjonariuszami własnych miejsc, jak to ma miejsce wszędzie na świecie, ale pracownikami i akcjonariuszami przedsiębiorstwa prywatnego. Walczy ono z pożarami znacznie skuteczniej i mniej kosztownie.

- Edouard Savas, który zrobił majątek na odpadkach. Dowiódł bowiem, że wywóz śmieci przez prywatnego przedsiębiorcę kosztuje zawsze 42% taniej, niż ta sama operacja wykonana przez miejski zakład oczyszczania.

Jak więc "prywatyzacja na szczeblu lokalnym, to swista lekcja liberalizmu, bowiem każdy, w swoim miejscu zamieszkania i na przykładzie odniesionych przez siebie korzyści, może doceniać zalety liberalizmu" - podkreśla Sorman.

Istota nowoczesnego liberalizmu nie sprowadza się wyłącznie do efektywnościowych dobrodziejstw reprivatyzacji i wolnej konkurencji. Liberalizm ten - zdaniem Sormana nie ma nic wspólnego z długą dziejową kapitalizmu XIX wieku. Rymuje się on natomiast z koncepcjami partycypacji, odpowiedzialności i solidarności. Demokracja gospodarcza w przedsiębiorstwie jest bowiem jednym z warunków sukcesu ekonomicznego. W Stanach Zjednoczonych i Japonii przedsiębiorstwa najbardziej zaawansowane technicznie i organizacyjnie są zarazem najbardziej postępowe w sferze społecznej. Zbudowane są one w oparciu o zasadę uczestnictwa pracowników i osobistej odpowiedzialności za produkt - każdy dysponuje częścią władzy, ale w zamian za to, osobistą odpowiedzialnością wobec przedsiębiorstwa.

Firmy gwarantują stabilność zatrudnienia - "pracę na całe życie", ale zobowiązują pracowników do przygotowania się do pracy na różnych stanowiskach i zgody na elastyczność wynagrodzenia za pracę, w zależności od wyników ekonomicznych przedsiębiorstwa.

Rozwiązanie liberalne wspiera się - jak widzieliśmy - nie tylko na pieniądzu i bogactwie, ale głównych źródłach zachodniego humanizmu: zasadach wolności jednostki i prawie do jej rozwoju, godności ludzkiej, odpowiedzialności i solidarności. Tak pojęty liberalizm nie jest ani własnością, ani korzyścią niektórych tylko klas społecznych, ale może i powinien przynieść więcej wolności i dobrobytu wszystkim obywatelom.

Projekt społeczeństwa liberalnego sprowadza się do kilku prostych zasad i reguł. Niektóre z nich wynikają wprost z tego, co zostało powiedziane wyżej: anty-etatystyczna deregulacja i deregulacja oraz "ściśnięcie pasa" dla rozbuchanych wydatków Państwa i wyzolenie inicjatywy indywidualnej. Inne kreśli Sorman w ostatniej części swej książki.

To przede wszystkim, zasada kapitalizmu ludowego i upowszechnienia własności prywatnej jako warunku wolności - odpowiedzialności i powodzenia ekonomicznego jednostek i społeczeństwa. To również utworzenie rynku zdrowia i ubezpieczeń społecznych, przejmujące monopol państwa i odcinające wzrostem jakości usług zdrowotnych i obniżając ich koszty.

To także zasada szkoły konkurencyjnej i czesku oświatowego, jaki otrzymywałaby każda rodzina. Wartość takiego czesku odpowiadałaby przeciętnemu rocznemu kosztowi nauki. Rodzice mieliby swobodę wyboru, a gromadzone przez szkołę czeski stanowiłby jedyne źródło środków finansowych.

Szkoły musiałby przystąpić do współzawodnictwa, by przyciągnąć rodziców i dzieci, poprzez poprawę jakości nauczania.

To wreszcie zasada bezpośredniej demokracji poprzez częste referendum ludowe jako najlepszy sposób na biurokrację, na modelowanie społeczeństwa według pomysłów Nowej Klasy. W odróżnieniu do biurokracji liberalnej twierdzi, że lud wie, co dla niego dobre i winien mieć możliwość bezpośredniego i częstego wyrażania swej opinii, tym bardziej, że postęp w dziedzinie środków komunikacji międzyludzkiej likwiduje szereg dotychczasowych trudności technicznych.

Staje się obecnie jasne, gdzie należy upatrywać źródła odrodzenia teorii i praktyki liberalnej. Jedną z przyczyn jest niewątpliwie kryzys ekonomiczny, który ujawnił niepowodzenie rozwiązań etatystycznych. Intervencjonizm zachodni nie potrafi uporać się z inflacją i z bezrobociem, natomiast upadłostwo gospodarki komunistycznej wykazały się oczywistą nieefektywnością, ograniczając wprost niezdołność do innowacji i reform, a także niezmożność zaspokojenia elementarnych potrzeb konsumpcyjnych społeczeństwa. Porzeka etatyzmu nie jest jednak - zdaniem Sormana - główną przyczyną odrodzenia liberalizmu. Czuje on zapewne intuicyjnie, że wyjaśnienie takie świadczyłoby tylko o seandraczej myśli ekonomicznej, niotającej się między liberalizmem a interwencjonizmem wtedy, gdy zamodzi /jak uważano w latach trzydziestych/ten pierwszy lub /jak się uważa obecnie/ ten drugi.

Istotną przyczyną leży gdzieś indziej, a mianowicie w rewolucji technologicznej, której symbolami są mikroinformatyka i mikrobiologia czyli - jak mówi obrazowo Sorman - "połączenie tego co nieskończenie małe z tym, co nieskończenie potężne". Rewolucja ta ani nie pojawiała się, ani też nie rozwija się z inicjatyw państwa.

Co więcej gospodarka statystyczna niezdolna jest wręcz do adaptacji rewolucji technologicznej. Nie wykreaował się też masowy popyt leśn wynalazczość, indywidualne inicjatywy, twórczy geniusz techniczny i handlowy jednostek - krótko mówiąc - to wszystko, co stanowi istotę porządku liberalnego.

Książka Sormana wywołała we Francji wiele hałasu i ugruntowała popularność jej autora. Liczne recenzje zaprezentowały całą gamę ocen - od superlatywów do totalnej negacji. Jedni podkreślali zalety tej niesłychanie jasnej, żywej, błyskotliwej, ważnej i pożytecznej prezentacji współczesnego liberalizmu. Inni zarzucali Sormanowi hołdowanie liberalizmowi prymitywnemu i płytkiemu, apologetyzm, tendencyjność i powierzchowność analiz oraz pomijanie szeregu ważkich problemów współczesności.

Jest to w istocie rzeczka książka osobliwa; produkt pracy profesora ekonomii i jednocześnie utalentowanego dziennikarza lub - jeśli kto woli - dziennikarza o wielkich ambicjach intelektualnych. A przy tym książka bardzo osobista, napisana przez obserwatora zaangażowanego bez rezerwy w sprawę liberalizmu i pragnącego zjednać dla tej sprawy największą liczbę czytelników. Stąd częste odwoływanie się do wyobraźni czytelnika, jego poczucia zdrowego sensu, gry skojarzeń i emocji, aniżeli do chłodnej analizy i szerokiego uzasadnienia głoszonych tez. Można więc Sormanowi wierzyć, bądź nie wierzyć, być przekonanym lub nie przekonany, ale nie można pozostać obojętnym lub neutralnym. I to stanowi o wielkiej sile oddziaływania oraz pewnych nieuniknionych słabościach tej książki.

Guy Sorman wie, że ludzie kierują się w swych działaniach systemem wartości, jaki nadają światu i stara się system taki zaprojektować. Przedstawia zatem współczesność w perspektywie manichejskiej, jako teren konfliktu sił dobra, światła i prawdy reprezentowanych przez liberalizm z siłami zła, ciemności i hipokryzji, utożsamianych z totalitaryzmem i socjal-etatyzmem. Perspektywa naszytła to może uproszczona, ale nadająca zjawiskom współczesnym określone znaczenie, pobudzające wyobraźnię ekonomiczną czytelników i przyodgajająca ich do postaw i zachowań liberalnych.

W takim kontekście ujawnia się szczególny walor książki Sormana dla czytelnika polskiego. Choć i u nas bowiem dostrzec można narastanie popularności i znaczenia myśli liberalnej, to przecież świadomość ekonomiczna większości społeczeństwa, w tym także znacznej części elity opiniodawczej, jest deprymująco skąpa na czterdziestoma latami panowania monopolu ideologicznego etatoc Marksizmu. Silna jest ciąża wiara w możliwość świadomego, celowego i planowego kierowania rozwojem społeczeństwa, której jedyną przeszkodą są rzekome "wypaczenia" systemu. Utrzymuje się przekonanie o zbawczej mocy ustaw państwowych, zdolnych do regulowania wszystkich sfer życia zbiorowego i swoiste myślenie "prohibicyjne", zgodne z którym dokonanie społeczeństwa może się dokonać na drodze produkowania urzędowych nakazów i zakazów.

Na tym tle liberalizm przedstawia się jako system anarchii i tyfiożności zjawisk gospodarczych i społecznych, nierówności i niesprawiedliwości oraz braku bezpieczeństwa ekonomicznego, a w kręgach lewicy intelektualnej, jako funkcjonalnie szkodliwy wobec burżuazji relikw dżwięgnastowiecznej myśli ekonomicznej i politycznej. Ten rodzaj zachwiania umysłowego książki Sormana - popularna i atrakcyjna w treści - ma szanse odruci skuteczniej niż niejedno solenne i głębokie dzieło liberalne.

Jej zdolność do przełamywania panujących tu stereotypów myślowych wydaje się wręcz nieoceniona. Ugruntowane wydawałoby się pojęcie "konserwatywnu", "postępu", "lewicy", "prawicy" zostają w tej pracy zakwestionowane i muszą ulec przewartościowaniu, nie z powodu "dialektyczno-liberalnej" songlerki słownej, ale ze względu na świadectwo rzeczywistości, w której lewicowe związki zawodowe okazują postępowe, konserwatywne i zachowawcze, a prawica liberalna - dynamiczna i postępowe.

Spontaniczna żywiołowość naturalnego biegu historii ustanawia nie chaos, lecz solidne, instytucjonalne podstawy sensownego ładu społecznego, natomiast świadome kierownictwo życia społecznego sprawowane przez państwo jest nie tyle planowaniem, konstrukcją rzeczywistości, co raczej jej regulacją.

...którą nie sposób zapamiętać, konstruującego rzeczywistość. Zyskując polityczne zdawałoby się urzędzenia i zdobycze socjalne przynosił korzyści wielce wątpliwe; prowadził natomiast wprost i nie wątpliwie do zniekształcenia i ukształcenia się od Nowej Klasy.

...do zniewolenia i użalenia się od Nowej Klasy.
Myślenie to myśli nie są niczym nowym dla liberała, ale mogą wy-
różniać go od czytelnika, dla którego książka Sormana
pokazuje oca dowodnie, że każdy problem społeczny czy ekonomiczny
ma swoje rozwiązanie liberalne. Tym zaś, którym projekt liberalny wy-
daje się niedoskonały i niepełny godzi się wskazać ważną zasadę au-
tonomicznego Ferdynanda Zweiga: "Liberalizm nie wierzy w możliwość
idealnego, doskonałego ustroju społecznego. Liberalizm chce realizować
ustrój niedoskonały, ale lepszy od innych".
Wydawnictwo "Kupa" - 1980

Wydańciew "Kurs" słowa uznania za szybkie przyswojenie czytelnikowi pojęcia drugiej już "opowieści liberalnej" Guy Sorman.

/Guy Sorman, "Rozwiązanie liberalne", KURS 1985, ss.154/

POLEMIKA

W numerze 2/86 "stańczyka" znalazłem tekst p. J. Wygdyńskiego "Społeczeństwo w krótkich spośdennach", którego tezy zmuszają mnie do zajęcia stanowiska. Autor analizuje postawę, a właściwie brną postawę polskiego społeczeństwa w dziedzinie szeroko rozumianej działalności gospodarczej. Jako przyczynę bierności Polaków przyjmuje Autor panującą jakoby w naszym społeczeństwie "lewicową ideologię". Oczywiście zgadzam się, że serce Polaków bliższy jest opiekuńczy model szwedzki niż ideały "drapieżnego kapitalizmu" albo co innego serce, co innego rozum.

Według p. Wygdyńskiego warunki panujące w naszym kraju stały się przyczyną demoralizacji, upadku indywidualizmu i przedsiębiorczości, "inicjatywy i aktywności". Tymczasem wystarczy odpowiedzieć na kilka prostych pytań aby kataryczne twierdzenia Autora wspomnianego artykułu objawiły się jako nie do końca prawdziwe.

Czy nie jest przedsiębiorczy naród, z którym 80% pracujących w tzw. "sektorze uspołecznionym" polepsza swój byt wykorzystując luki /niezliczone/ w gospodarce "oficjalnej"?

Czy nie jest aktywny naród, którego przedstawiciele docierają z poszukiwaniem zysku nawet do południowo-wschodniej Azji?

Zjawiska związane z ludzką aktywnością gospodarczą, jej objawy wartościowane są rozmaicie, od "stodzieństwa i spekulacji" poprzez delikatniejsze "kombinatorstwo" do potocznej "głowy na karku" - ale to jest ta przedsiębiorczość i aktywność niezależnie od frazeologii czy wartościowań moralnych.

Tak krawiec szyje jak mu materiał staże.

Jesteśmy narodem aktywnym, pełnym pomysłów i inicjatyw ponieważ jesteśmy ludźmi, którzy działając w swojej lub bardziej określonym środowisku chcą się bogacić. Środowisko ekonomiczne, w którym przyszło nam funkcjonować jest środowiskiem zastanym, niezmiennym od aktów naszej woli. Musimy skonstatować taki czy inny jego element, zależności i sprzężenia, jego specyfikę, charakter i ... brną się do dzieła.

P. Wygdyński twierdzi /powołując się nawet na dane empiryczne/, że Polacy nie chcą likwidacji Państwa-Bladki /jak żółć tak żał/. Ale czy działalność gospodarcza /a jej szerokiemu znaczeniu/ nie polega nie na ograniczaniu sfery niepewności? Czy przypadkowo społeczeństwo nasze nie pragnie uniknąć poważniejszych zmian, ponieważ nie chce poszerzać sfery niepewności poza dopuszczalne dla działalności gospodarczej granice?

Czy ludzi interesuje ideologia? Nie - ale nich ważne jest własne podwórko, własny ład i własność, który w przypadku radykalnych zmian może zostać naruszony czy nawet zniszczony.

Warunki u nas panujące ani nie sprzykają, ani nie przeszkadzają w istnieniu aktywności gospodarczej /indywidualnej czy grupowej/ - one po prostu są. I nie należy udawać się w rozważania nad forami powstaje w takich warunkach przedsiębiorczości. Wystarczy mi fakt, że ta aktywność i stała się, bo istnieje musi tak długo jak człowiek jest człowiekiem, a ludzka natura nie poddaje się "wymuszeniu".

Miltons Friedmana /ur.1912/ nie trzeba przedstawiać polskim czytelnikom. Jego standardowa książka "Free to Choose" została już bzdą w całości /wyd. KURS, 1985/, bzdą w obszernych fragmentach /Biblioteka 13-ki, wrocławskie ZESZYTY LIBERALNE/ zaprezentowana, a pomniejsze szkice i artykuły wciąż znajdują swoje miejsce na łamach prasy prawicowej. Wspomnieć należy także o wydanej w 1983 roku przez OFFICINĘ LIBERALÓW słynnym wywiadzie, którego M. Friedman udzielił reporterom miesięcznika PLAYBOY. Friedman uchodzi za twórcę tzw. "szkoły chicagowskiej", twórcę idei monetaryzmu, a także za "bojownika" o ekonomiczną wolność. W sprawie jego zainteresowań obok problemów ściśle ekonomicznych leżą także zagadnienia związane z najogólniej pojętą polityką społeczną, którymi do zainteresowania dawaj wyraz jako dionizyjny publicysta tygodnika NEWSWEEK. Stamtąd właśnie pochodzą zamieszczone poniżej felietony dotyczące tym razem spraw związanych z problemami nauczania. Artykuły te powstały wprawdzie jako reakcja na wydarzenia przełomu lat 60-70-tych, lecz zawsze w nich spoproszenia posiadają charakter bardziej ogólny. Podobnie traktujemy inne felietony M. Friedmana dotyczące np. armii, ubezpieczeń czy planowania i w miarę możliwości częściej z nich zaprezentujemy w przyszłych numerach pisma.

Red.

MILTON
FRIEDMAN

BEZPŁATNE NAUCZANIE *)

14.02.1987

Gubernator stanu Kalifornia Ronald Reagan włożył kij w mrowisko, proponując podniesienie opłat za naukę w państwowych college'ach i na Uniwersytecie Stanowym z dotychczasowych \$ 90-275 o dalsze 150-250 \$ rocznie. Profesorowie i studenci jak jeden mąż dali wyraz swemu oburzeniu tą propozycją. Studenci nie lubią płać za to, że pobierają naukę - to niedorzeczne! Bezpłatne nauczanie jest wieloletnią tradycją Kalifornii, tradycją tak ugruntowaną, że nawet uniwersyteccy buntownicy bronią z wszystkimi siłami przede wszystkim swoich klenszów.

Niestety, ubodzy podatnicy i młodzież nie studiująca w college'ach są znacznie mniej skuteczni od profesorów i studentów jeśli chodzi o przedstawienie społeczeństwu swego przypadku. Bezpłatne szkolnictwo jest dla nich wysoce krzywdzące. Oprócz tego obniża ono ogólny poziom wyższego nauczania. Propozycja gubernatora Reagana jest spójniona i daleko za skromna nie tylko z punktu widzenia Kalifornii ale i innych stanów.

Koszt wykształcenia studenta w Kalifornii wynosi około 2000 dolarów rocznie. Studenci przyjeżdżają do szkół stanowych automatycznie uzyskują dotację w tej wysokości. Dzięki temu mogą oczekiwać, iż będą zarabiać lepiej przez całą resztę swojego życia; lepiej od innych, równie zdolnych, którzy posiadają jednakowe szanse pobierania nauki nie skorzystali z nich. Spłacą oni nieznaną część swoich stypendiów w formie podatków od wyższych dochodów.

Jednakże największą część dotacji pokrywana jest przez rasatę podatników w tym także przez współobywateli, którzy z różnych powodów nie korzystają z bezpłatnego szkolnictwa. Pomimo pozorów sprzecznosci college'e stanowe i stanowy uniwersytet skłania przede wszystkim bogatych. W Kalifornii ponad połowa studentów w 1963 roku pochodziła z rodzin najlepiej sytuowanych, których dochody przekraczały 10 tys. dolarów rocznie /25% społeczeństwa/. z drugiej strony tylko 5% studentów pochodziło z rodzin, w których roczny dochód wynosił jedynie 4 tys. dolarów /18% społeczeństwa/. Jednakże studenci-idealisci hołdują wszócemu sprawiedliwości społecznej.

Jest oczywiście pożądanym, by każdy młody człowiek, bez względu na wysokość dochodów jego czy jego rodziców, bez względu na pozycję społeczną, miejsce zamieszkania, rasę - miał wstęp na wyższą uczelnię lecz pod warunkiem, że jest on gotowy płacić za naukę /na bieżąco lub w przyszłości/ z wyższych dochodów, których osiągnięcie umożliwił mu studia. Stanowi to argument za stworzeniem systemu kredytów wyrównujących szanse młodych ludzi. Jest to argument na rozszerzenie systemu informacji o możliwościach uzyskania takich funduszy i przypiszenia ich wykorzystania przez dotychczas pokrzywdzonych. Lecz nie ma tutaj uzasadnienia dla subydiowania tych, którzy korzystają z nauki kosztem innych.

Kalifornia w praktyce stosuje wobec swoich studentów następującą zasadę: "Jeśli pochodzisz z najlepiej sytuowanych warstw społeczeństwa, automatycznie kwalifikujesz się na uzyskanie stypendium w wysokości 2 tys. dolarów pod warunkiem, że będziesz uczęszczał do państwowej szkoły. Jeśli jesteś na tyle głupi by iść do Stanfordu lub Claremont nie wspominając Harvardu, Yale czy Chicago nie dostaniesz nic".

Jeśli Kalifornia ma w dalszym ciągu zamiar udzielać subwencji studentom, to najlepiej przekazać im te pieniądze bezpośrednio by mogli sami decydować o wyborze szkoły. W ten sposób szkoły państwowe będą samowystarczalne finansowo /dzięki opłatom za naukę/ i będą mogły na normalnych zasadach konkurować z instytucjami prywatnymi. Jeśli będą w stanie przyciągnąć studentów rosnącą, w przeciwnym wypadku - upadną. Potrzeba walki o studentów zmusi college'e by dostosowywały swoje programy nauczania do zainteresowań studentów. Berkely na przykład sławny jest dzięki jakości swoich prac badawczych, a nie dzięki jakości nauczania. Jak wskazuje przykład Kaliforni szkoły państwowe wypracowały specjalne techniki odwoływania się do legislatury i wpływanie na opinię publiczną bo są to skuteczne sposoby na dofinansowanie. Jednocześnie cały czas domagają się niezależności od zewnętrznych wpływów politycznych. Lepiej byłoby, gdyby stworzyły bardziej atrakcyjne programy nauczania uzyskując w ten sposób rzeczywistą niezależność.

Jeśli dobre wiatry rozproszą smog nad Kalifornią, możliwe, że da ona przykład innym stanom jak zwiększyć otwartość edukacji i jej jakość a jednocześnie oddające budżet - wszystko to poprzez wykorzystanie naturalnego prawa, według którego ludzie cenią to za co płacą i zapłacą za to co cenią.

*/ Tytuł oryg. "Free Education" - gra słów: w jęz. angielskim "free" oznacza zarówno "bezpłatny" jak i "nieakceptowany", "wolny"/przyp. tłum./.

EGALITARYZACJA SZKOŁY

28.02.1972

Sposób postawienia pytania często determinuje odpowiedzi. Przykładowo, jeśli zostaniesz zapytany: "Czy powinno się zezwalać na wydawanie swoich dochodów na wyższy poziom nauczania swoich dzieci?" prawie na pewno odpowiesz - "tak". Jeśli zostaniesz zapytany: "Czy to jest fair, że dzieci, którym przyszło żyć w gorszych warunkach miałyby otrzymywać gorzkie wykształcenie od swoich bogatszych rówieśników?" z pewnością odpowiesz - "nie". Takie też było ostatnio orzeczenie sądów Kalifornii, Teksasu, i New Jersey dotyczące niekonstytucyjnego charakteru idei lokalnego finansowania szkół publicznych. Jednakże odpowiedzi na oba pytania są sobie sprzeczne. Jeśli wszystkie dzieci mają otrzymywać równe wykształcenie, to w jaki sposób niektórzy rodzice mogą na nie więcej wydać? Sprzeczność ta sugeruje, że warto rozpatrzyć implikacje wspomnianych orzeczeń sądowych.

Jeżeli nieprawidłowym jest dla różnych grup społecznych w ramach stanu przeznaczanie różnych kwot na jednego uczącego się w szkołach publicznych /lub inaczej/ sprzyjanie nierówności nauczania/ jak z drugiej strony może to być prawidłowe dla różnych stanów? Dla różnych krajów? Jeśli nawet zatrzymamy się w naszych własnych granicach decyzje sądów jasno zakładają federalne finansowanie szkół aby zapewnić równe wydatki na ucznia w skali kraju. "Szkoly lokalne winny podlegać kompetencji miejscowych władz szkolnych" - to stwierdzenie prezydenta Nixona wzbudziło entuzjazm Kongresu lecz pozostanie ono sloganem pozbawionym treści jeśli Waszington zacznie płacić. Rodzice mogą uchronić swe dzieci przed egalitarną szkołą, posyłając je do szkół prywatnych. Jednakże będzie to z pewnością sprzeczne z odpowiedzią sądów na drugie z postawionych przez nas pytań. Jeśli dozwolone jest prywatne szkolnictwo uciesza przed decyzją sądów spowoduje regres szkolnictwa urzędowego i rozkwit szkół prywatnych. Sądy winny traktować to, i szkodzenie, jako obojętne prawa, tak jak uczyniono to z próbami zakładania szkolnictwa prywatnego na południu Stanów, które były konsekwencją sądowych decyzji dotyczących integracji szkolnictwa publicznego. Jednakowe wydatki na jednego ucznia przede logicznie implikują zakaz działalności dla szkolnictwa prywatnego - i to znacząco właśnie niektórzy bardziej "postępowi" reformatorzy.

Ale dlaczego miałyby to nastąpić? Jeśli jest nieprawidłowym, że rodzice wydają różne sumy pieniędzy na nauczanie swych dzieci, jak może być to aktualne w przypadku żywności, ubrania czy mieszkania?

Przeniesiona do praktyki negatywna odpowiedź na drugie pytanie podąża za sobą dalszą egalitaryzację i stworzenie społeczeństwa zhomogenizowanego. Jest to droga jaką społeczeństwo amerykańskie podążało przez pewien okres. Nie nasililiśmy szczególnie zbyt daleko, gdyż pomyślność człowieka w zależności o własny interes i interes rodziny powstrzymała zapędy niewydarczonych biurokratów i ich poronionych pomysłów co do egalitaryzacji szkół. Zdażyliśmy już jednak zapłacić za te próby ceną wysoką w walucie wolności i efektywności.

Co złego jest w podążaniu tą drogą? Czyt wiąża społeczeństwa, w którym prawo sąda równego wykształcenia, zamieszkania, wyżywienia i ubrania dla wszystkich dzieci nie jest wiąza inspirującą i posadana? Z pewnością nie! Taki wymuszony egalitaryzm możliwy jest tylko na bardzo niskim poziomie rozwoju. Lecz co znaczy równość skoro jest się na dzień? Jeśli nie mogę użyć moich większych dochodów na poprawę losu moich dzieci, po co mi wyższe dochody? Co więcej, jeśli moje dzieci /a nawet ja/ będziemy żyli na tym samym poziomie co inni, niezależnie od jakości mojej pracy - po co nam pracować? Skoro zaś brakuje "marchewki" na wynagrodzenie wyisków, będzie musiał pojawić się "kij"! Wymuszony egalitaryzm znaczy więc przymusową pracę i w konsekwencji państwo niewolnicze. Jest to wiąża potworna a nie inspirująca.

Oczywiście czyniąc jeden krok na tej drodze nie jesteśmy od razu skazani na jej smutny koniec. Socjalizm to nie ciąża. Możemy być, tak jak i jesteśmy trochę, a może nawet bardziej niż trochę socjalistami, bez konieczności znalezienia się u schyłku tej drogi. Wciąż jest to tylko myśl, która determinuje nasze działania. Skoro jednak myśl ta jest fałszywa, to może warto jeszcze raz zastanowić się nad podjętymi lub zamiarowanymi w imię tej idei krokami.

Na tym polega różnica między tymi bardziej szacupliwymi stanowiskami podstawi dla określenia /wyznaczenia/ minimalnego standardu poniżej którego nikt nie powinien funkcjonować a próbą prawnego unifikowania warunków życia. Jest to różnica między wolnością i niewolnictwem.

LIST DO REDAKCJI

Korzystając z uprzejmości redakcji "Stadozyka" Wydawnictwo GŁOSY pragnie upomnieć się o "swoje". W 17 numerze przedmiotnego miesięcznika literackiego KURS znalazł się m.in. obszerny wywiad z Leszkiem Kołakowskim przeprowadzony przez Wojciecha Karpińskiego. Redakcja KURSU publikując wywiad nie zaznaczyła /a powinna/, że ukazał się on w n-rze 2 /miejscu 1983/ paryskich ZESZYTÓW LITERACKICH przedrukowywanych także w kraju. Prócz tego, o czym KURS może już nie wiedzieć /ty: bardziej spieszmy zawiadomieć/, wspomniany wywiad ukazał się nakładem Wydawnictwa GŁOSY w roku 1983 pod tytułem "Nie, wierzę w zwycięstwo totalitaryzmu...".

Nieco dalej /s.42/ tego samego numeru KURSU zamieszczono fragmenty dwuczęściowego artykułu Józefa Mackiewicza "Na drodze wielkiego Leszku". Artykuł ten ukazał się w londyńskich WIADOMOŚCIACH w roku 1977 /n-ry 45 i 46/ a nasze wydawnictwo przedrukowało go w całości w zbiorze publicystyki Józefa Mackiewicza pt. "Droga Pani..." /Poznań 1985/. Wspominając powyższe, nie chcemy rzeczą jaaną w najniebezpiecznym stopniu dyskredytować miesięcznika KURS, a jedynie dokonać pewnego bilansu rzeczowego uzupełnienia, które być może okaże się przydatne z punktu widzenia Czytelnika.

PS. Przy okazji dziękujemy p. S.Poniatowskiemu za przychylne przyjęcie broszury Andrzeja Kowicza "Stosunki Kościół-państwo w Polsce."

FELIETON

Całkiem niedawno czy to w TV czy w radio - nie, był to chyba ilustrowany tygodnik - znalazłem tekst, którego treść, teza, morał i co tam jeszcze wyleciały mi z pamięci przez małą, wulgarnie brzmiącą frazę. Redaktorka lub redaktor z oburzeniem relacjonował rozmowę urzędniczką organów kontrolnych i handlarza na jednym z targowisk. Nie pamiętam już czy handlarz "robił" w zegarkach, maszynkach do nielenia mięsa czy przetworach spożywczych tym niemniej w niezwykłe lakoniczny sposób wyraził to, co starałem się z uporem zaniaka tłumaczyć wszystkim moim znajomym, co z kolei wywołuje uśmiechki /śledziwe?/ sony i przyjaciele "szanujmy" już z moją teoryjką. Na pytanie kontrolera: Dlaczego pan to robi, dlaczego pan spekuluje - pada odpowiedź: To przez was naszą tu stercząc. To wy stworzyliście sytuację, w której opłaca mi się to robić. Nie wiem jaki los spotykały tu "organy", w świetle funkcjonującej u nas "ustawy antyspekulacyjnej" nie wróć mi najlepiej. Wspomniana ustawa traktowana jest przez trzęsliwie wyalających aparatczyków jako instrument walki z wiatrakami, według innych jest doskonałym sposobem likwidacji "ujemnych zjawisk społecznych" tak niedobrze wpływających na samopoczucie specjalistów od "sprawiedliwości społecznej".

Zjawisko spekulacji - znane nie od dzisiaj - wywołuje skrajne reakcje. Skrytykowana większość /intuicyjnie to wyrozumiał/ wartościuje spekulację negatywnie jako osobistą krzywdę, jako zmanę na podstawie idei sprawiedliwości. A przecież zasada "kupić taniej - sprzedać drożej" leży u podstaw wszelkiej działalności kupieckiej, handlowej. Wdają się to rozumieć ludzie, dla których tzw. "czarny rynek" jest okazją uniknięcia kilometrowych kolejek ustawiających się po produkty, towary, które pojawiają się w sklepach z regularnością ogólnie znaną /a właściwie nie znaną/. Niejednokrotnie jest to także jedyna szansa aby wejść w posiadanie pożądanego dobra. Na "czarnym rynku" można polegać.

Zasatanawia jednakże fakt, że państwo, którego organy z taką zawziętością i uporem walczą ze spekulacją, jednocześnie akceptują np. skup i sprzedaż kawy przez nalepy z artykułami pochodzenia zagranicznego, która przecież również nie różni się od sprzedaży innych artykułów przez nie-ajen. Wspomniana zasada "kupić taniej - sprzedać drożej" w obu przypadkach rzeczy jasno funkcjonuje. Dopóki oferowane na "czarnym rynku" towary nie pochodzą z kradzieży /w dosłownym sensie tego słowa/ nie powinien ingerować w obrót tych towarów. A może chodzi tu o brak kontroli nad sporą częścią obrotu towarowego i związane z tym straty fiskalne? Jeśli tak, to nie powinna karanie kolejni obrotnych staruszek, renciastów czy "niepracującej młodzieży". "Czarny rynek" /którego istota według mnie polega na "złuceniu rynkowego" /tzn. ogólnie znanego/ i "aktywnej" państwa

niezależnie od jej zakresu, agresywności pozostawia szerzsy lub wązsy margines stosunków społecznych przez siebie nieopanowanych, nieregulowanych choć społeczeństwu potrzebnych. Mechanizm homeostazy doprowadza do sytuacji, w której społeczeństwo "deleguje" niejako swoich przedstawicieli do wypełniania tych luk i są one z mniejszym lub większym powodzeniem /w mniejszym lub większym stopniu legalnie/ wypełniane. Mądry władca nie dość, że potrafi rzec się części swego panowania na rzecz swego ludu ale jeszcze czerpać z tego korzyść. Władca krótkowzroczny, zachłanny tego nie umie i cierpi na tym nie tylko on ale także społeczeństwo poprzez na przykład niedogodny dostęp do dóbr, poczucie winy z tytułu popełnianego "wykrośzenia" czy stabilizację cen na stosunkowo wysokim poziomie. Spekulacja nie wydaje mi się zatem problemem "społecznego ewanietwa" a po prostu zagadnieniem doktrynalnej krótkowzroczności, uporu i zachłanności władzy, której przyszło rządzić społeczeństwem podobnym do innych społeczeństw choć żyjących w warunkach znających je do wiadnie takich form aktywności gospodarczej, "której i waz zyczą..." ■

Władysław Halicz

CO PRZED NAMI ?

"Problem" ludzi starych w Ameryce staje się obecnie tematem numer jeden dla nauk społecznych. Wiele uwagi poświęca się raczono kłemu traktowaniu ludzi starych przez młodzież. Modni gerontolodzy domagają na ich trudne położenie: niezamożni, schorowani, opuszczeni przez dzieci, naznaczeni przez społeczeństwo jako brzydki, niebezpieczni i bezwolni. Trzecie wydanie książki "Starość w Ameryce - nowe perspektywy starości" */ pomaga w obaleniu wielu mitów dotyczących starości.

Owieczna zgoda na proces starzenia się, oparta na "teorii modernizacji", obarcza winą industrializację, która doprowadziła do rozkładu rodzin wielopokoleniowych, oddzieliła rodzinę od ich dzieci i rzuciła na pastwę nowoczesnego państwa. W ostatnich latach jednak teoria modernizacji jest atakowana ze wszystkich stron. Historycy jak np. Peter Laslett i ekonywująco udowadniają, że rodziny wielopokoleniowa nigdy nie stanowiła standardu w wielkiej Ameryce czy Ameryce. Michael Anderson natomiast dowodzi, że przymuszenie z XIX-wiecznym Lancashire w miastach, starzy ludzie chętniej zarabiali ze swymi krewnymi niż ci żyjący na wsi. Inni jeszcze uczeni badali sprawę "godności wieku starszego" w tradycyjnych społeczeństwach. Jak twierdzi Corrine Hydegger wiek starczy per se zawsze jest oceniany pozytywnie, nigdy tak niedołąstwo. To raczej bogactwo, władza, nadzwyczajne zdolności są urodem wysokiego statusu ludzi w wieku podeszłym.

Ten cały rewizjonizm jest uzupełnieniem pożądanemu pod warunkiem, że nie cierzymy go dosłownie. Rozważaj na przykład, obecnie ogólnie akceptowaną, argumentację Laslett'a skierowaną przeciwko wielopokoleniowym mieszkańcom. Do tej pory funkcjonujący pogląd nie dotyczy kilku pokoleń mieszkających w tym samym domu lecz żyjących w odległości dostatecznie bliskiej aby wzajemnie służyć sobie wsparciem i pomocą. Poza tym, jak argumentuje Guy Lee, dane ze spisu ludności wskazują, że "na przełomie wieków ponad 60% ludzi starych mieszkało przynajmniej z jednym dzieckiem, te same dane z roku 1970 podają ok. 18%".

Starczy ludzie nigdy nie cieszyli się zbyt wysokim prestiżem w naszej cywilizacji, a historyk Brian Gattan dostarcza dowodów na jego dalszy spadek. Rozważaj na przykład sposoby kłamania o własnym wieku. Wielu ludzi mówi o sobie jako o 39 lub 49-latkach długo po przekroczeniu granicy lat 40 czy 50. Jakkolwiek w XVIII-wiecznej Ameryce zamiast mówić "mam 39 czy 49 lat" mówiono 41 lub 51. Gattan wyciąga stąd wniosek, że "Amerykanie drugiej połowy XVIII wieku odmiennie zapatrywali się na kwestię wieku".

Czy w Ameryce ludzie starzy są naprawdę niezamożni i zaniedbani? Ze wspaniałej przedmowy Beth B. Hess ocenia w sposób wyważony: oiali mężczyźni radzą sobie raczej dobrze, kolorowi gorzej, choć wskaźnik ubóstwa pomiędzy tymi powyżej 65-go roku życia wynosi tylko 14%, a więc niewiele więcej niż średnia wynosząca 11,4% - z tym, że większość z nich była biedna przez całe życie, więc więc nie jest przyczyną niskiego statusu materialnego. Poza tym 70% ludzi starych posiada własne domy, z czego 4/5 to budynki z wolną hipoteką. Niektóre z nich wymagają reparaacji, ale nie uzasadnia to jednak konwencjonalnego obrazu starszaków dopędzających swoich dni w nieogrzewanych pokojach.

Nie ulega wątpliwości, że starość w Ameryce nie jest źródłem prestiżu. Częściowo można to wytłumaczyć systemem wczesnych emerytur tworzoną przez Social Security. W konstytucyjnej republice, prestiż i oszacunek są w dużej mierze funkcją pracy. Szczególnie mężczyźni stają wobec ogromnego kryzysu powstałego w wyniku ich przejścia na emeryturę. Zostają "siemilicznymi", pomagają w gospodarstwie domowym i stają się niewygodni dla swoich żon. Nie jest to zjawisko wyjątkowo amerykańskie. Linda Evans Cool i Justine McCabe dokonały porównania kulturowego /cross-culture comparison/ przedstawiając podobny efekt w dwóch rodziennomorskich społecznościach, w których znaczenie kobiet wzrasta, a mężczyźni zdaje się zmniejszać. Kobiety zawiązują prestiż swej roli matki oraz związkom między nimi a dziećmi. Mężczyźni natomiast spędzają swoje najlepsze lata zżywając wolności i, jak wielu amerykańskich ojców, nigdy naprawdę nie poznają swego potomstwa. W późniejszych więc latach bez pracy i władzy są nieco zagubieni.

W wysocze ruchliwym i uprzemysłowionym społeczeństwie, jakim jest społeczeństwo Stanów Zjednoczonych, proleży związane ze starzeniem się są nieuniknione. Przejście na emeryturę pociąga za sobą utratę prestiżu, dzieci odchodzą a starzy ludzie zamykają się w poczuciu fałszywej dury, niezależności i - zwłaszcza ostatnio - urazy. Wielu ulega pokusie i traktuje siebie jak członka gnębionej mniejszości. Spora część tych trudności spowodowana jest rządową polityką typu Social Security, która /należy o tym pamiętać/ była tworem generacji obecnych 65- do 80-latków. Oczywiście nie ma siatego wieku, do którego można by powrócić, ale już najwyższy czas aby zniwelować napięcie uniemożliwiające porozumienie i serdeczne stosunki między pokoleniami. Dziadkowie winni znaleźć oparcie u swych dzieci i wnuków. Również w warunkach zamożności /nawet w czasach wielkiego kryzysu społeczeństwo amerykańskie było stosunkowo dostatnio/ rodziny powinny czuć się nieskrępowane w wyrażaniu swoich uczuć i spora część społeczeństwa Stanów cieszyć się tego trzyma.

Jedynym rzeczywistym problemem związanym ze starością jest fakt, iż ludzie w podeszłym wieku w niedostatecznym stopniu obcuja z rodziną i przyjaciółmi, które to przecież nadaje sens ludzkiemu życiu. Jedyne co możemy zrobić, jak sugeruje Allan Carlson, to zmiana struktury Social Security i systemu podatkowego aby choć częściowo ulżyć rodzinie dyskryminowanej przez państwo■

/CHRONICLES. A magazine of
American culture, kwiecień
1986/

- */ Growing Old in America: New Perspectives on Old Age, ed. by Seth Barless and Elizabeth W. Markson, Transaction Books, New Brunswick.

CENZUR [K]A

W katalogu Międzynarodowego Biennale plakatów zamieszczony jest artykuł "Miejaka ikonosfera plakatu", jego autorem jest Florian Zieliński. Z liczącego 14 stron zarysownego normalizowanego cenzura usunęła 4. Oto "zakazane" fragmenty tekstu publikowane bez wiedzy i zgody autora:

+ + + + +

Przestrzeń miasta jest obżarem konkurencji grup i instytucji, przy tym krótkowzrocznych co do pozycji społecznej, obżarem walki o nacechowanie jej symboliką scierających się grup. Symbole parujące nad miastem definiują władzę. Ta zaś określa symbole własne jako ogólnospołeczne i spycha lub zaciera symbole konkurencyjne. Obecność symbolu w przestrzeni publicznej jest przesłanką legalizacji wyrażających się przez nie instytucji. Nieobecność symboli "znosi idee", następuje anihilacja stojących za nimi grup społecznych. Okresy walk wyborczych wyrażają platformę walki o nacechowanie przestrzeni, o podjęcie jej własnymi symbolami. Walka o miasto toczy się na wymiarach: intelektualna i artystyczna jakoś symboli, "naciąganie" plakatów, składanie się symboli w szerszy i atrakcyjniejszy obraz, włączanie symboli z manifestacjami, z zachowaniami ludzi. Walka o nacechowanie to zarazem uświadamianie sobie własnych pozycji, tego co emocjonalnie bliskie i co odpychające. Takie sacrum, jako czasowy lub przestrzenny wyraz wartości społecznych, oznajmia się przez nacechowanie - symbole, zawarte w nich wartości i tradycje sakralne zostają na miasto, stanowią jego świętą szatę.

+ + + + +

Archetypowym obrazem nacechowania miasta są częste przysyłanie aktorów stanowienia lub niszczenia symboli. Zatknięcie szpilki, rozbijanie i palenie symboli wroga, akty stanowienia nazw i niszczenia nazw przeszłych - oto symboliczne branie miasta, naciąganie go własnym symbolem.

Różnica między miastem metropolitalnym, miastem średnim, miasteczkiem a wsią w Polsce, może być mierzona ilością i jakością obecnych tam plakatów. Jedyne plakaty filmowe dociera najniżej. Centralizacja powodująca skupienie artystów i funduszy, znajduje w tym wymiarze widowy wskaźnik, staje się źródłem różnicowania i dewaluowania mniejszych skupisk.

* * * * *

Ostatnie dziesięciolecie przynosi pewną zmianę. Plakat polityczny ustępuje plakatowi kulturalnemu, agitacja zamienia się w funkcję fatyczną. Pełzał ulicę traktuje o filmach, wystawach i spektaklach, życie społeczne jawi się jako życie imprez, a polityka odsuwa się ku celebracji rocznic.

* * * * *

/odnośnie "fikoji" jako stwarzania wyimaginowanej rzeczywistości, rodzaju samospełniającej się przepowiedni/
Nie sposób jednoznacznie ocenić rozpatrywane tu pojęcie fikoji. Jej odniesienie może być stan zniewolenia lub manipulacji społeczeństwem, gdzie rzeczywistość plakatów bezpośrednio przenika w system politycznego dozoru. Ale także stan przypisania, propagowania wartości, które same z siebie, w określonych warunkach, rozwijający się zbyt wolno. Warto zauważyć, że społeczne stwarzanie przez fikoję, odwołuje się często ku mającym charakter misyjny "nadwartościom". W ich imię dokonuje się ingerencji w spontaniczną grę żywiołów, wprowadzając swoisty ład bezładu, wizję stanu docelowego. I właśnie fikoja stanowi instrument przybliżenia ku "nowemu światu".

* * * * *

Plakat społeczno-polityczny nasuwa ideę "amierai i narodzin ideologii". Ideę wyczerpywania się plakatu politycznego, jako niezdolnego do rodzenia żywych intelektualnie i emocjonalnie symboli. Nie wiele zresztą prac poświęcalnych w tym sensie politycznie, że wiążących się z programami partii i ruchów społecznych.
Czy wskaźnik to bankructwa polityki, jakby niezdolnej do wyartykułowania symboli. A przecież symbol nie jest czymś społecznie i personalnie "zewnętrznym". Wyrażają się w nim wartości i tradycje, role społeczne i postawy, odbija się w nim ideologiczna platforma, "zienia", która go zrodziła. W tym kontekście kryzys symboli jest nie tylko kryzysem symboli, lecz generalnie kryzysem cywilizacji, jej perspektyw i ożywiających ją wartości. Jeśli zgodzić się z powyższym punktem widzenia, przyjąć można dwie interpretacje. Biennale stało się forum ekspozycji oficjalnych symboli i oficjalnej polityki. Druk tu symboli ruchów alternatywnych, symboli powielanych na xero, malowanych na murach i ściganych mocą prawa. W tym aspekcie druk symbolu politycznego oznaczałby "jego śmierć, wejście w kategorię politycznego establishmentu. Możliwa jest wszakże inna, uzupełniająca interpretacja. Przesunięcie się "sfery wartości" z plakatu politycznego ku plakatowi społecznemu. Z idei "wielkich" ku "średnim", z symboli ofensywnych ku defensywnym. Z symboli "nowego ładu" ku symbolom ociesnienia.
Plakat polityczny musi nieść więc optymistycznej perspektywy, plakat społeczny może kreować idee przeciwstawiające się logice samozagłady. Wyolice się plakat społecznego i słabość politycznego, potraktować można jako symboliczną konstatację sytuacji i uszankować społecznego świata - rozdartego politycznie, zagrożonego katastrofą atomową, ekologiczną, a w obszarach ciemności dodatkowo katastrofą ludnościową.

Reprezentację nich stanowi przeobrażenie plakatu polskiego. W maju 1985, odbyła się w poznańskim SZA wystawa "100 najlepszych plakatów polskich w latach 1944-84". W wyborach kolekcjonistów, w bezinteresownych wycenowaniach, uznano za wybitne plakaty społeczno-polityczne z następującymi latami: 1945, 1950, 1952, 1953, 1955 - 2x, 1960, 1972, 1975. Dziesięciolecie zamknięte sześcioma wielkimi symbolami i niespełna trzydziestoletnie zamknięte trzema. Przewaga symboli "perspektyw": Zwykłość, Kongres, Festiwal, Partia! i w drugim okresie symbola zagrożenia atomowego i wojny.

Pismo KONSERWATYWNYCH LIBERAŁÓW WROCŁAW



MYŚLI O NOWEJ PRAWICY (I)

Kogo obecnie można zaliczyć w Polsce do nowej prawicy? Jakże są jej cele? Jak widzi ona realizację swoich dążeń? Czy w ogóle ma szansę? Istnienie nowej prawicy nie da się zaprzeczyć. Jej pojawienie się i szybki wzrost można śmiało zaliczyć do tych elementów przyszłości, które już się wydarzyły.

* * *

Zespół **POLITYKI POLSKIEJ**: Między Polską naszych pragnień, a Polską naszych możliwości. Szkic do programu. Wrzesień-październik 1983.

Konserwatyzm i ewolucja

Cechami myślenia politycznego XIX-wiecznego wieku są utopizm i radykalizm. Pierwsi zachowawcy nie występowali nawet w programach ugrupowań konserwatywnych. Przykład angielskich torysów jest typowy. Od kiedy konserwatyści zaprobowali reformy społeczne, sami zaczęli rewolucjonizować społeczeństwo. Idea konserwatywna weszła w fazę kryzysu. Aprobata zamady ingerencji rządu w sferę praw jednostki w intencji zrównania majątkowego, skończyła się utratą oblicza. Rozumie nieprzekraczalnych granic władzy politycznej posiada w zapomnienie. Okazało się, że widoczne skutki postępowania konserwatystów angielskich, zarówno rządowych jak i pozostających czasowo w opozycji, zmusiły do zmiany praktyki. Degradacja pozycji Wielkiej Brytanii w świecie, wzmocnienie związków zawodowych, potęga państwowej biurokracji, otworzyły oczy wielu ludziom. W następstwie - odrodzenie konserwatywne, związane z osobą M. Thatcher, powstrzymało gwałtowny wzrost władzy politycznej. Obecnie wyróżniamy jednak pewien dysonans między stanem faktycznym a zamiarami rządu. Socjalizm w Anglii, który choć stale jest ograniczany, wyrządza ludzi niepowołanych straty, prowadząc nieustannie do rozstroju życia społecznego. Opieka społeczna wciąż skutecznie podcina więzi rodzinne, polityka redystrybucji dochodów odbiera ochotę do inwestowania i powiększa rzeszę beneficjentów dobroczynności, państwowe szkolnictwo... Zdaje się, że Anglicy pogodzili się z myślą o nieograniczonych możliwościach państwa. Ci, którzy liczą na taką akceptację porządku opartego na ograniczonych kompetencjach rządu i jedyną jego odpowiedzialności dają wyraźną swoją niecierpliwość i niewiary w powodzenie odrodzenia konserwatywnego. Problem "angielski" ma swoje odpowiedniki w krajach objętych zasięgiem cywilizacji łacińskiej. Posiada również cechy własne, zależne od uwarunkowań kulturowych.

W Polsce respektowanie zasad konserwatywnych w myśleniu politycznym i praktyce należy do ludzi o orientacji prawicowej. Ugrupowania narodowe zajmują

dzisiaj poczesne miejsce na prawicy. Ciekawcy i w wielu miejscach kontrowersyjny program reprezentuje zespół Polityki Polskiej. Kontrowersje wzbudza np.: nieprzestrzeganie wymogów metody konserwatywnej; szereg niekonsekwencji taktycznych uniemożliwiających skuteczną politykę narodową. Spocyfika polska narzuca niemiennie pytanie: co w naszych warunkach należałoby konserwować?

Prawica, która ucieka przed rozwiązaniem problemu konserwatyzmu w PRL w sensu, kompromituje się. Przecież dziewiętnastowieczni konserwatyści w warunkach niewoli prowadzili niezależną politykę polską. Niezależność od nastrojów opinii. Co prawda należało do ich na niepopolarności i częste narzuty narodowego odstępstwa, mieli jednak rację gdy wskazywali na zagrożenie ze strony polityki insurekcyjnej dla tych obszarów życia narodowego, które umożliwiały jego wszechstronny rozwój. Wskazywali na konieczność inwestowania w lokalny smorząd, w niezależną kulturę, prywatną gospodarkę. Myślenie konserwatystów obracało się wokół wewnętrznych źródeł siły, a zewnętrzne warunki niezmieszności widzieli oni w wykorzystaniu rywalizacji między państwami zaborczymi. Konserwatysty wskazywali, że plany insurekcyjne prowadzą do wspólnoty interesów 'trzech dworów'. Stańczyk wreszcie upierał się przy konserwowaniu, odrzucając ideę permanentnej rewolucji. Odrzucali sprzeczną z faktami historycznymi tezę o wychowawczym wpływie przegranych (nowej) powstań.

Zalety Realpolitik

Czy można osiągnąć wewnętrzną suwerenność narodu wbrew państwu rozporządzającemu potężnymi środkami siłowymi do rozbijania narodowej solidarności i więzi społecznych? Gdyby szło o wskazanie centralnego programu Polityki Polskiej, powyższy fragment nadałoby się na jego ilustrację.

Zastanawia mnie w powyższym fragmencie wykluczenie państwa z dobrodziejstw wolnego społeczeństwa. Widoczny jest, że wolnego społeczeństwa nie da się powoływać bez ograniczenia władzy rządu. Myśl Polityki Polskiej o wykorzystaniu wolności przeciwko władzy politycznej musiała począć się z ducha radykalnego populizmu.

Dla konserwatysty nie są niezmiennymi instytucjami. Rzeczywistość może zmieniać się na lepsze lub na gorzej. Nie chcę przez to od razu twierdzić, że system polityczny np. PRL ewoluje w pożądanym przez nas kierunku. Duszno dokonano odkrycia, że w polityce przede wszystkim dominuje chęć poszerzenia władzy dla samej władzy (Toqueville). Jedynie niepomysłne dla władzy okoliczności wielokrotnie zmusiły niejedną rząd do ograniczenia się (krach gospodarczy, przegrana wojna, klęska rewolucji itp.). System PRL dryfuje dzisiaj w kierunku, nieznanym kierunkiem, zaś charakter ewolucji możemy odczytać jedynie z drugorzędnych cech (polityka fiskalna, wyznaczniki, kulturalna Chciałoby, aby traktować w programach politycznych prawicy PRL jako całość, na którą składają się: władze, opozycja, Kościół, gospodarka państwa, prywatna przedsiębiorczość, podwaliny wolnego społeczeństwa. Z racji obszaru można konserwować elementy, które są większy wpływ na rząd, niż opozycja ciesząca się poparciem większości. Z tych powodów program wewnętrznego suwerenności powinien zakładać większą otwartość. Prawica na ten temat dążyła wiele przeszkód natury poznawczej. Czeka ją jeszcze wiele pracy w rekonstrukcji tych nurtów politycznych w elicie władzy, które by przeżyły program autonomii sfery ekonomicznej i kulturalnej spod presji biurokracji państwowej.

Władze traktuje się w programie Polityki Polskiej jako monolit. Nie chcę przez to twierdzić, że Autorzy nie dostrzegają rywalizacji w łonie władzy. Może najlepiej sformułował warunki powodzenia i zwycięstwa opozycji A. Wałicki. Potrzebna jest więc ze strony prawicy mobilizacja polityczna bez polaryzacji, bez izolacji władzy, bez zerwania 'pasa transmisyjnego', dzięki któremu opozycja poza-systemowa (a także polityka Zachodu) mogła mobilizować opozycję wewnątrzsystemową, ta z kolei mogła skierować zwolenników różnych form 'pracy organizacyjnej', i rezultacie wzmocnić pozycję partyjnych 'liberałów' w rozgrywkach z 'twardogłowymi'.

W planie zewnętrznym, odejście od realpolitik w stronę moralistyki, zaznaczone jest u narodowców rozważaniem szansa przemycięcia Jaltę. Szansa dla Polski stanowi antyjaltański, pomija jej zasadnicze konsekwencje. Dla Zachodu ugrupowania antyjaltańskie w Polsce są czynnikiem destabilizującym w grze politycznej z Zachodem. W oczach Zachodu uniawienie Jaltę równa się zagrożeniu (s)pokoju. Niewiele zmieniają werbalne deklaracje o wyjście z Jaltę, podające z ust polityków, gdy fakty wskazują na zaangażowanie rządów w poszukiwaniu modus vivendi w stosunkach z Rosją. Na dodatek postawę społeczeństw zachodnich cechuje wzrost nastrojów pacyfistycznych.

Respektowanie wymogów polityki realnej, dowodzi posiadania wyobraźni i zasad politycznych. Moralizatorstwo w wydaniu politycznym rodzi deklaracje bezsilności i powołanie oczekiwanie na cud. Gdy nie staje konceptu, goni się w piętę. Polska prawica narodowa stoi przed wyborem, między kontynuacją lewicowej polityki podobnych życzeń z jednej strony i polityką zgodną z naszymi możliwościami, z drugiej.

Twarzą do przyszłości

Wiele miejsca w programie *Polityki Polskiej* zajmuje analiza ostatniego dziesięciolecia (Czas przebudzenia, *Polaki Sierpień i Solidarność*, Po grudniu). Nie na tym w tym nie zdołano, jednakże rozpatrując przeszłość za narodowy widzieliśmy terazniejszość. Aby wyciągnąć lekcje z lat siedemdziesiątych i zrobić nową krytyczną spojrzeć na dramat polityczny, który się dokonał. Mielibyśmy potrzebę przebudzenia świadomości narodowej, mobilizację okresu *Solidarność* i w konsekwencji ... normalizację. Potoczna obserwacja wskazuje, że obecna (lata: 1980-1983) w parze z erupcją emocji politycznych nie szła solidna praca poznawcza w sferze polityki. Uczucia i nastroje można eskalować dowolnie, budować na ich fundamentach jest wprost nieprawdopodobnym. Normalizacja jako skutek 13 grudnia w dużej mierze wynika z prowadzenia polityki 'nastrojowej'.

Polityka Polska nie dostrzegłaby nieuniknioną się w schemat powielany przez lewicową opozycję. Zgodnie z tym schematem akt 13 grudnia spowodowany był straszący władzy chęcią totalitaryzacji życia w kraju. Czy rzeczywiście? *Polityka Polska* nie dostrzegła we wprowadzeniu stanu wojennego aktu samopoboru racji i ofensywy. Przyjrzyjmy się bliżej sytuacji ostatnich lat. Socjaletyzm w PRL "przeżędził" w połowie lat siedemdziesiątych fazę przesilenia. W 1980 roku nie było możliwe dalsze utrzymanie państwa socjalnego na taką skalę, jak dotychczas. Ukonstytuowanie się niezależnych związków zawodowych przyspieszyło jedynie zalananie się socjaletyzmu. Postulaty demokratyzacji gospodarki - wybuch samorządowego kolektywizmu, żądania rozszerzenia socjalnych cen i płac, wyłapania na rzecz totalnej opieki społecznej - doprowadziły w 1981 roku do punktu krytycznego. Na marginesie: można się zastanawiać czy *Solidarność* stymulując socjaletyzm nie poszła dalej w ograniczaniu praw jednostki, niż to uczynił rząd po 13 grudnia. Ludzie pryncy nie powinni i takiej możliwości wykluczać.

Obecnie, gdy z sympatią patrzy się na pokonanych, łatwo zapominać o zagrożeniach wynikających z ewolucji sytuacji w 1981 roku. *Polityka Polska* dostrzegła w zamachu grudniowym 'znamięna ewolucji od państwa totalitarnego do autorytarnego', 'koniec ideologii komunistycznej, popieranej przez ideologię państwową', 'koniec rządów aparatu partyjnego zapożyczonego przez aparat państwowy'. *Polityka Polska* odrzuca jednak każdą z tych możliwości. Moim zdaniem przejawia tym samym obawę przed nadchodzącą przyszłością.

W pogrudniowej sytuacji kryje się prawdopodobnie ewolucja systemu w kierunku liberalizacji gospodarczej. Prawica musi zdać sobie sprawę, że przypadek jej roli konstruktywnej opozycji. Siła jej koncepcji politycznej polegać musi na zdolności wykorzystania nadarzającej się okazji do powiększenia zakresu swobód ekonomicznych i kulturalnych. Przeciwna strategia narzuca na przenoszenie kosztów bezczynności, które w efekcie dają sytuację narzucającą przymusową aktywność, albo powodującą ... bezradność.

Zasady nowoczesnej wolności

Aby wspólnota narodowa w pełni mogła się rozwinąć, korzystać w pełni ze swych praw - musi posiadać własne państwo. Autorzy uznają własne państwo jako środek służebny wobec narodu. Chcieliby nałożyć władzy państwowej ograniczenia wynikające z chrześcijańskiej zasady pomocniczości. Szeroki samorząd, prawa rodziny, prywatna inicjatywa wypełniają w programie *Polityki Polskiej* podstawowe funkcje w zakresie kultury i gospodarki. Państwo - według *Polityki Polskiej* - ma ochraniać ludzi i ich wienie oraz stwarzać warunki rozwoju poprzez uniępną politykę zagraniczną.

Autorzy programu żywią szczerą obawę przed dyktaturą monopartii i demokracją totalitarną. Służącej państwu: Miary spustoszenia - spowodowanego przez to, co przyjęło się nazywać 'totalitaryzmem demokratycznym', polegającym na tyranii większości, absolutnej władzy ciała ustawodawczego i całkowitej centralizacji - dopełnił demagogiczny egalityzizm, nadający pojęciu demokracji sens kinowy i ekonomiczny, co doprowadziło do stopniowego, lecz konsekwentnego zafalszowania sensu demokracji - od dyktatury jacobinijskiej, poprzez różne odmiany radykalizmu i socjalizmu, do 'socjalizmu realnego' włącznie. *Polityka Polska* proponuje - jako rozwiązanie - demokrację liberalną, z szefem państwa jako władzą zwierzchnią pośredniczącą, harmonizującą i regulującą trójdzielny układ legislacyjny (parlament), egzekutywy (rząd) i sądownictwa.

Stef państwa pochodzić ma z wyborów powszechnych. Pozostaje pytanie - jak długo powinien sprawować swój urząd? Sądząc, że kadencji jego nie należałoby ograniczać. Perspektywa prawnie usankcjonowanych i długich rządów znacząco kłóży się z dzierżawą władzy, stabilizując kierunek polityki. Rzecelowo mogłaby to być prezydentura dożywotnia. Autorzy skłonni są przyznać głowie państwa prawo sankcji ustaw oraz rozwiązywania parlamentu. Według mnie należałoby dodatkowo wyodrębnić domeny polityczne, będące wyłącznie w kompetencji szefa państwa. Ma on być politykę zagraniczną i obroną. Dożywotni prezydent dąbiłby najlepiej o stałość politycznych i militarnych sojuszy, będąc ich osobistym gwarantem. Interes państwowy znalazłby silne oparcie w interesie własnym. Obowiązkiem ciążącym są bowiem zaletami polityki zagranicznej wyjętej spod wpływu gróźb i nacisku, wliczonych o przewagę w parlamencie.

Obawa na marginesie. Rozważania na tematy prawno-ustrojowe, lekko trąca

filozofia. Zmniejsza jeśli się zna, że zmiany w strukturze organów państwowych są daleką pochodną fluktuacji w świecie idei, gospodarki, polityki, a nawet obyczajów. Warto jednakże wstąpić, na roboczo, pokusić się o zarysowanie możliwych rozwiązań.

Widząc wykonawczą stronę, na zdaniem Polityki Polskiej, rząd, powołujemy przez szefa państwa, na podstawie większości parlamentarnej. Aby uniknąć rządów pozaparlamentarnych wystarczy posłużyć się mechanizmem konstruktywnej opozycji. W syls tej zasady aby obalić gabinet w głosowaniu, trzeba mieć po swojej stronie nową większość i być w stanie sformować nowy rząd, nie oczekując na nowo wybory.

Autorzy proponują dualistyczną strukturę parlamentu (sejm i senat). Moim zdaniem, jeśli sejm jest powołany w wyborach powszechnych - przy wyzysku, niż obecnie - oznacza większość - według ordynacji większościowej, to senat - rada państwa - wywodzić się powinien z nominacji szefa państwa. Sejm - zgodnie z tym, co poprzednio napisaliśmy - kontrolowałby jego działalność. Autorzy traktują izbę niższą jako ciało ustawodawcze, przyznając senatowi prawo sankcjonowania ustaw z punktu widzenia prawa moralnego i zgodności z konstytucją. Według mnie, Senat powinien być ekscypowany literą i duchem konstytucji, w której prawa kardynalne nie podlegająby rewizji. Autorzy słownie zważają: Mówiąc o rządach prawa musimy wrócić na umowę, że ponad prawem stanowionym, pozytywne - istnieją nakazy sumienia i boskie prawa moralne, a także przyrodzone prawa człowieka, którym prawo pozytywne musi być podporządkowane. Łącząc się z tym kwestią (...) gwarancji ochrony życia, zdrowia, majątku, dobrego imienia oraz głoszenia własnych przekonań. Bodam od siebie, że na straszy zgodności ustaw zwykłych z prawami kardynalnymi postawiłbym Trybunał Konstytucyjny. Co zaś zostaloby sejmowi? Uchwalanie podatków, budżetu, organizowanie rządu, wyczerpują zestaw kompetencji niezbędnych w przypadku izby niższej.

Szef senatu - rady państwa - w okresie przejściowym (śmierć prezydenta) przejmując obowiązki głowy państwa. Moje dezideraty, jeśli chodzi o senat, idą dalej niż Polityki Polskiej. Podobnie jak urząd prezydencki, członkowie senatu sprawują swój urząd dożywotnie. W połączeniu z niezawisłym sądownictwem całość powinna składać się na Rząd Prawa, które są najlepszym gwarantem sprawiedliwości i dobrobytu.

Całkowicie przyjdzie zgodzić się z uwagami Polityki Polskiej w kwestii samorządu lokalnego. Moje poparcie uzyskuje postulat ograniczenia rządu na polu gospodarczym. Stłumione skutecznie podcina fundamenty cywilizacji łacińskiej, odbierając jednostkom wolność a władzę pozbawiając autorytetu.

Co robić, a czego nie robić w imię wolności?

Autorzy programu Polityki Polskiej, wyodrębniają cztery sfery działalności społecznej, mogące być zaczynem wolnych instytucji przyszłości. Przyjdzie się zgodzić z wyodrębnieniem akcji na rzecz odnowy moralnej i ochrony rodziny, odzworzenia elit, upowszechnienia edukacji i organizowania podstaw niezależności ekonomicznej. Moje zastrzeżenia budzi chęć leczenia (zw. zjawisk patologicznych) przy pomocy ustaw. U źródła patologii stoi poniekąd fałszywe umiowanie o roli prawa. Nie ma uzasadnionych powodów, dla których należałoby pograżać naszą sytuację kolejnymi regulacjami prawnymi. Wpółności dzieci powinni decydować rodzice, rząd zaś nie powinien ich mobilizować do większej rozrodczości - ustawodawstwem pronatalistycznym. Ustawodawstwo pro- i anty- natalistyczne traktuje człowieka jak obiekt hodowlany, wykluczając świadomy wybór, zgodny z wychowaniem moralnym ludzi. Pronatalistyczne Polityce Polskiej godzi się zwrócić uwagę na stanowisko Ojców Kościoła (w tym m.in. św. Jan Chryzostom) wskazujących, że liczy się jakość a nie ilość ludzi.

Nie wiadomo, jak rozumieć zdanie o konieczności stworzenia rodziny polskiej odpowiednich warunków zdrowotnych i społecznych, umożliwiających jej harmonijny rozwój. Jeśli dopatrywać się w nim zachęty do rozszerzenia opieki państwa nad rodziną - w formie dodatkowych świadczeń - wypada zwłaszcza ostrzec przed destrukcyjnym działaniem takiej polityki. Warunki rozwoju może rodzinie przynieść zniesienie ograniczeń wolności pracy, nie zaś stworzenie ulg dla jednych, połączone z obciążeniami nałożonymi na innych. Uważam, że pożądaną funkcję mogą spełniać w wypadkach losowych (oprócz krewnych i osób bliskich) Kościoł i wspólnoty lokalne.

Niezwykle ciekawe są opinie autorów Polityki Polskiej odnośnie elit politycznych. Działają jako wywołujące tu i ówdzie przymierne egalitaryzmu, nie próbując się zniszczonemu celowości istnienia elit. Wiadomo, że bez elity niemożliwe jest wykształcenie się konstruktywnej opinii publicznej. Elita reprezentuje w wolnym społeczeństwie element kultury politycznej, przyczyniając się w decydującym stopniu do hamowania wybuchów pierwotnych emocji i stawiając w XX wieku polskie elity słabo wyrażały się ze swoich zadań. Często

chęćbiały panującym nastrojom, nie podejmując się kształtowania polityki według smogów realizmu. Nie sposób porozumieć się ze sformułowaniami użytymi w programie

Polityki Polskiej: Sądzi się, że wciąż wciąż jest bardzo odległy od stanu w którym to prawo (geopolityka, sojusz z Rosją) byłoby akceptowane przez szersze sferę społeczne. Zbyt silna jest nienawiść i pogarda, zbyt ciężkie brzemię

przeszłości i teraźniejszości polsko-rosyjskich stosunków. Otóż - jak sądzę - Polacy nie mają zakodowanej niemości do Rosji. Dużą rolę w upowszechnieniu stereotypów antyrosyjskich odegrało niezależne piśmiennictwo. Jeśli zaś chodzi o brzemień przeszłości i teraźniejszości, jesteśmy - jako słabszy partner - zmuszeni do wyrzeczenia się pretensji, które mogłyby nam ograniczyć swobodę działania. Ciężko to warunk, ale elita polityczna, przez pamięć ofiar przeszłości i wzgląd na przyszłość, musi mu sprostać.

Postulaty Polityki Polskiej: walki o niezależną odwilg (prywatną) i reprivatyzację gospodarki, nie podlegają dyskusji. W obu przypadkach pożądaną są zabiegi idące dwutorowo. Z jednej strony, walka ta może ogarnąć działalność praktyczną na gruncie prawnego-legislacyjnego. Z drugiej strony, walka ta może ogarnąć działalność praktyczną, o szeroki zasięg: tworzenie spółdzielni, spółek, prywatnych firm, warsztatów i gospodarstw, rozwijanie szerokiej sfery usług. Dotychczas do tego niezależne seminaria naukowe, prywatne fundacje itp.

Wiecej ufnosci we własne siły!

Życzę Polityce Polskiej aby Jej Szkie do programu ze sfery rozważań i propozycji został przeniesiony w sferę realizacji. Autorzy programu raczyli uwzględnić warunki consensusu politycznego na prawicy: walka o swobodę kulturalną i ekonomiczną (wolny rynek). Słusznie wskazali kierunki polityki zagranicznej, z uwypukleniem obopólnych korzyści, wynikających z dobrosąsiedzkich stosunków z Rosją. Gorzej wyszło jeśli chodzi o wewnętrzne uwarunkowania. Autorzy programu - jak sądzę - w obawie przed niepopularnością przyjęli opcję rewolucyjną w stosunku do reżimu. Przewidywał niewątpliwie szczyt demokracji Polityki Polskiej. Jednak wymogi chwili obecnej skłaniają do porzucenia schematów i zmuszają do oporu wobec niektórych głęboko zakorzenionych dażeń. Aby ruszyć pod prąd, trzeba wierzyć we własne siły.

Sukces Polityki Polskiej zależy od tego, czy uda jej się przekonać nasze czynniki polityczne, że w ich własnym interesie leży realizacja programu narodowego. Mądrość polityczna tego wymaga. Jak pisał historyk: Owa cnota obywatelska, zwana przez starożytnych patriotyzmem, wywodzi się z silnego poczucia własnego interesu, jaki mamy w utrzymaniu wolnego ustroju państwa, do którego należymy, i w jego kwitującym stanie.

Rex

CHICAGO BOYS

W tej rubryce kontynuujemy prezentację klasyków myśli neoliberalnej. Henryk HAZLITT (ur. 1894) - amerykański ekonomista, wydawca i publicysta; członek redakcji wielu pism, m.in.: The Sun, New York Herald Tribune, The Nation. Członek Towarzystwa Mont Pelerin. Autor licznych publikacji, m.in. *Thinking as a Science* - 1916 (Myślenie jako nauka), *Instead of Dictatorship* - 1933 (Zamiast dyktatury), *New Constitution - Now* - 1942 (Nowa konstytucja - dziś), *Will Dollars Save the World* - 1947 (Czy dolary uratują świat), *The Great Idea* - 1951 (Wielka idea), *The Free Man's Library* - 1955 (Biblioteka wolnego człowieka), *The Failure of the New Economics. An Analysis of the Keynesian Fallacies* - 1959 (Fiasko nowej ekonomii. Analiza błędów keynesizmu), *What You Should know About Inflation* - 1960 (Co należy wiedzieć o inflacji), *The Foundation of Morality* - 1964 (Podstawy moralności), *Man Versus the Welfare State* - 1970 (Człowiek przeciwko państwu dobrobytu).

Poniżej drukowany tekst pochodzi z książki *Economics in One Lesson* - 1946 (Ekonomia w jednej lekcji). Inny fragment tej książki wydrukowała też Replika nr 50/1988. O "Ekonomii w jednej lekcji" F.A. von Hayek napisał: Nie znam żadnej współczesnej książki, z której inteligentny laik mógłby nauczyć się tak wiele w krótkim czasie.

Henryk Hazlitt

FETYSZ PEŁNEGO ZATRUDNIENIA

Celem tak narodów, jak i jednostek, jest osiągnięcie najwyższych wyników przy jak najmniej nakładach. Cały postęp ekonomiczny ludzkości polega na ciągłym zwiększaniu produkcji przy pomocy tej samej (wielkości) pracy. To dla tej właśnie przyczyny człowiek obarczył ciężarem grzbieta muła, zamiast uginąć pod nim własne plecy. Blagato to ludzie wynaleźli koło i wagon, kolej i samochód ciężarowy, używali swej inwencji by rozciągnąć setki tysięcy laboratoryjnych badań.

Wszystko to jest tak elementarne, iż można się zarumienić pisząc o tym. Jeśli nie uważać na fakt, iż nie pamiętają o tym ci wszyscy, którzy ukuli i rozpropagowali NOME SLOGANY. Przenosząc je na pole warunków narodowych zachowali zasadę, iż nadrzędnym celem jest maksymalizacja produkcji. Rozumowali, iż pełne zatrudnienie, połączone przez nich jako synonim braku niemyślnego lenistwa - staje się koniecznym produktem ubocznym maksymalizacji produkcji. Wszelako produkcję się kurczy, a zatrudnienie okazuje się zgola przeciętne.

Nie możemy pozwolić sobie na ciągłość pełnego produkowania bez pełnego zatrudnienia. Lecz możemy z łatwością mieć pełne zatrudnienie bez pełnej produkcji. Prymitywne plemiona, choć nagie, nędznie odżywione i bezdomne - nie cierpiały przecież na skutki bezrobocia. Chiny i Indie są bez porównania biedniejsze od nas, lecz główną ich bolączką stanowią prymitywne metody produkcji - które są zarówno przyczyną, jak i skutkiem niedoboru kapitału - a nie bezrobocie. Nic nie jest zgola łatwiejsze do osiągnięcia niżli pełne zatrudnienie, pod warunkiem równoczesnego ścisłego rozdziału między nim a maksymalizacją produkcji (o wówczas pełne zatrudnienie wyrasta do rangi celu samego w sobie). Hitler jedynie za cenę pełnego zatrudnienia realizował swój olbrzymi program zbrojeniowy. II wojna światowa "stworzyła" pełne zatrudnienie i pociągnęła w swój wir wszystkie narody. Niemowliny pracy w Niemczech mieli swoje ... pełne zatrudnienie. Jedynie przysmas bowiem jest w mocy wprowadzić i utrzymać PEŁNE ZATRUDNIENIE.

A jednak nasi promotorzy nie przedkładają w Kongresie Ustaw o Pełnej Produkcji, jako Ustawy o Pełnym Zatrudnieniu. Nawet słowarzyśnica buisnessmenów propagują "Prezydencką Komisję d/s. Pełnego Zatrudnienia", a nie d/s. Pełnej Produkcji, czy choćby d/s. Pełnego Zatrudnienia i Pełnej Produkcji. Wazędzi ów slogan sprowadzono do absurdu, nie zważając na konsekwencje. O zarobkach i zatrudnieniu dyskutuje się tak, jak gdyby nie miały one żadnego odniesienia do produktywności i wydajności. Przy skoncentrowaniu uwagi na zagadnieniu pracy, która winna zostać wykonana - można wyciągnąć wniosek, że trzydziestogodzinny tydzień pracy przyniesie więcej posad i winien mieć przeto trzydziestogodzinny tydzień, powiedzmy, czterdziestogodzinny tygodniem. Tysiące machinacji wokół miesiąc pracy, ze strony związków zawodowych, są w sposób żenujący tolerowane. Kiedy Petrillo zagroził zawieszeniem dotacji rządowych dla Radia - został poparty przez część opinii publicznej, ponieważ mimo wszystko próbował "kreować" nowe zajęcia w innych dziedzinach pracy publicznej. Kiedy wielki nasz Postępową Administrację *) dokonali ona selekcji, pod kątem stopnia inteligencji, urzędników, którzy - rzecz jasna - mieli za zadanie stworzyć projekty zatrudnienia "możliwie" największej liczby osób w stosunku do wartości wykonywanej pracy - inaczej mówiąc - w których praca byłaby najmniej wydajna.

Byłoby dużo lepiej, jeśli istniałaby alternatywa (dziś już nie istniejąca): mieć maksymalną produkcję za cenę istnienia części populacji utrzymywanej w bezczynności przez otwartą - prywatną - dobroczynność, opiekę społeczną; zamiast utrzymywać "pełne zatrudnienie" za pomocą tak licznie stanowionych pozorów, które dezorganizują produkcję.

Postęp cywilizacji oznaczony jest redukcją zatrudnienia, nie jego zwiększaniem. Wiadnie dlatego mogliśmy zwiększyć nasze bogactwo jako naród, ponieważ uzyskaliśmy sposobność skutecznego wyeliminowania pracy dzieci, czyniąc konieczną pracę wielu dorosłych, a uwalnając od jej przywmuś miliony kobiet. O wiele mniejsza proporcjonalnie część amerykańskiej populacji musi dziś pracować niż - powiedzmy - w Chinach czy w Rosji. Prawdziwy problem polega na tym, jak wiele miejsc wyprodukujemy i jaki, w konsekwencji, będzie stworzony standard naszego życia. Problem dystrubucji, który zajmuje wszystkich o ileż bliżej jest rozwiązania dzisiaj, ileż łatwiej wreszcie jest go rozwiązać jeśli większa jest pula do podziału. Możemy potwierdzić nasze osiągnięcia tylko wówczas, jeśli położymy główny nacisk na miejsce - gdzie problem spoczywa - na politykę, która zmaksymalizuje produkcję.

*) Administracja L. Johnsona - przyp. tłum.

Tłum. (e)

Kto i dlaczego nie lubi kapitalizmu?

W drugim odcinku z cyklu: *Kto i dlaczego nie lubi kapitalizmu?* Ludwik von Mises omawia postawy intelektualistów. Tekst pochodzi z wydanej w 1956 roku książki *"Mentalność antykapitalistyczna"*

Przeciętny człowiek nie ma zazwyczaj możliwości obcowania z ludźmi, którzy osiągnęli wyższą pozycję niż on. Porusza się raczej w kręgu ludzi podobnych do niego. Nigdy nie spotyka się ze swoim szefem na stopie towarzyskiej, nigdy nie dowie się z własnego doświadczenia, czym on sam różni się od przedsiębiorcy lub menedżera, jeśli chodzi o umiejętności i zdolności potrzebne, by zdobyć powodzenie służąc konsumentom. Jego zazdrość i uraza nie są zatem skierowane przeciwko ludziom z krwi i kości, lecz przeciwko błędnym abstrakcjom takim jak: kierownictwo, kapitał, Wall Street, których nie można niemiłować z taką samą żarliwością, z jaką człowiek potrafi niemiłować tych, z którymi codziennie obcuje.

Inaczej jest w przypadku ludzi, stykających się osobicie, ze względu na rodzaj pracy lub dzięki więzom rodzinnym, z tymi, którzy wylosowali większe wygrane i wierzących, że - po sprawiedliwości - należą się one im samym. I takich ludzi uczucie zawiedzionej ambicji nabiera niezwyklej intensywności, ponieważ mogą oni kierować swą nienawiścią ku konkretnym osobom. Na kapitalizm patrzą z odrazą dlatego, że innym wyznaczył miejsce, które oni sami czcieliby zająć. Taka postawa charakteryzuje często ludzi nazywanych potocznie intelektualistami. Przyjrzyjmy się - tytułem przykładu - lekarzom. Codzienna rutyna i doświadczenie pouczają każdego lekarza o istnieniu hierarchii, według której - zależnie od swych osiągnięć i umiejętności - sklasyfikowani są wszyscy zajmujący się medycyną. Ci sławniejsi niż on, od których uczy się nowych sposobów leczenia byli na studiach jego kolegom, razem z nim odbywali praktykę w szpitalach i uczestniczyli w zebraniach towarzystw lekarskich. Widuje ich zarówno przy łóżku pacjenta, jak i na towarzyskich spotkaniach. Niektórych zna osobicie, niektórzy są z nim spokrewnieni. Wszyscy oni odnoszą się do niego z najwyższą uprzejmością i tytułują go "drogi kolego". Ale równocześnie cieżą się większym uznaniem i uzyskują wyższe dochody niż on. Wypręśli go i należą już do innej klasy ludzi. Dlatego porównując się z nimi odczuwa upokorzenie. Musi jednak bardzo uważać, aby nikt nie dostrzegł jego urazy i zawiści. Okazanie choćby w najmniejszym stopniu prawdziwych uczuć byłoby poczytane za brak dobrych manier i dyskredytowałoby go w oczach wszystkich. Musi więc przełknąć upokorzenie i skierować swój gniew ku jakiemś zastępczemu celowi. Oskarża przeto ekonomiczną organizację społeczeństwa czyli "niegodziwy" kapitalizm. Gdyby nie niesprawiedliwy ustrój, jego talent i zdolności, jego zapal i osiągnięcia przyniosłyby mu taką odpłatę na jaką zasługuje. Tak właśnie myśli wielu prawników i nauczycieli, artystów i aktorów, pisarzy i dziennikarzy, architektów i naukowców, inżynierów i chemików. Czują się sfrustrowani, irytuje ich marność, powodzenie i sukcesy, jakie odnoszą dumni koledzy i przyjaciele ze szkolnej ławy. Ich uraza jest podjętą właśnie przez te kodeksy zachowania i etyki zawodowej, które twierdzą rzeczywistość rywalizacji okrywając pozorami koleżeństwa (lub przyjaźni).

Aby zrozumieć odrazę intelektualistów do kapitalizmu, musimy uwzględnić sobie, że w ich odczuciu jego ucieśnieniem jest pewna liczba kolegów, których sukces ich drażni i których obarczają odpowiedzialnością za niepowodzenie swych wygórowanych ambicji. Gwałtowna awersja do kapitalizmu jest jedynie maską skrywającą ich nienawiść do kolegów, którym się powiodło.

L. M.

MAURYCJ ROJSKI

'Faszyzm' nie przejdzie!

Tygodnik *Fowezeczny* jest czasopismem szeroko znanym i cenionym, które od wielu lat odgrywa ważną rolę w polskim życiu intelektualnym. Autorzy, jak i zdobyło sobie przez 40 lat istnienia sprawa, iż opinie i oceny wyrażane na jego łamach są dla dużej części polskiej inteligencji całkowicie miarodajne i przyjmowane z pełnym zaufaniem. Dlatego tym bardziej smutną budzić niepokój wszelkie uprzedzenia i nierzetelności, powielanie utartych stereotypów, zlekceważanie faktów, apodiktyczne patrzenie na rzeczywistość przez ideologiczne okulary (ciemne esencjalnie różowe), pojawiające się na jego łamach.

Ja, wieloletni prenumeratorka Tygodnika, po prostu osłupiałem, gdy w dziesiątym tegorocznym numerze przeczytałem w komentarzu zatytułowanym *Znaki czasu* i podpisanym JT następujące zdanie: *Juz po ostatniej wojnie z mapy Europy zniknęły faszystowskie dyktatury w Hiszpanii i Portugalii. Doprawdy potrzeba wiele siły woli aby dyktaturę Antoniego Oliviera Salazara nazwać faszystowską (Hiszpanię pomijam, oczywiście z braku miejsca a nie dlatego, że uważam ją za faszystowską).* Być może JT pod określeniem "faszyzm" rozumie coś zupełnie innego niż ja, ale w przypadku, gdy jakieś słowo nie jest całkiem jednoznaczne nie należy używać go w krótkim komentarzu, kiedy nie ma możliwości dokładniejszego sprecyzowania jego znaczenia. Chodzi przy tym o słowo silnie

naładowane emocjonalnie, które nie tyle opisuje rzeczywistość co pełni rolę propagandową i ideologiczną. Czy JT zgodziłby się z tymi "historykami", którzy ustroj Polski niedziwójennie nazywali faszystowskim, albo z lewicowymi radykalami, którzy przyznawali "faszystowski" rezerwu dla każdego, kto im się na danym etapie walki nie podoba? A jednak użył on podobnego, czysto propagandowego chwytu, robiąc ludziom wodę z mózgu.

Rozumiam, że JT chce udowodnić jaki jest postępowy i że w tej postępowości ikt, łącznie z partyjnymi ideologami, go nie przeszkadza. Ja jednak aż taki 'postępowy' nie jestem - choć zgadzam się z p. Franciszkiem Strusssem, że być konserwatystą znaczy maszerować na czele postępu - i z partyjnymi ideologami dążyć się w 'postępowości' nie zamierzam. Mogę przeto z czystym sumieniem napisać parę słów o Portugalii. Zachęcam przy tym do lektury książki Aleksandra Trzaski-Chrzastowskiego *Przypływy i odpływy demokracji* (1 wyd. Warszawa 1939, II wyd. Warszawa 1981), której ostatni rozdział poświęcony jest właśnie Portugalii.

Cofnijmy się nieco bardziej w czasie. W 1908 roku zamordowany został król Karol I, jak to ktoś pięknie powiedział nie za swe błędy, lecz za swe zalety. Na tron wstąpił Emanuel II. Jego panowanie trwa krótko. Po dwóch latach zostaje obalony i wygnany z kraju. Od 1910 roku, czyli od czasu proklamowania republiki, do zamachu majowego w 1926 roku (dwa tygodnie po Piłsudskim) dokonano przez generała Gomesa da Costa, Portugalii coraz bardziej pogrąża się w chaosie społecznym i gospodarczym. Nie mogło być inaczej, jeśli pamiętać, że po zabójstwie Karola I republikanie wszystkich odmian zamienili groby terrorystów - stratosznych w czasie paniki przez konny orszak towarzyszący królowi - w pogórki z kwiatach, odbywając na cmentarzu patriotyczne manifestacje i czcąc politycznych gangsterów jak bohaterów narodowych. Cała cywilizowana Europa z przerażeniem patrzyła na ten straszliwy upadek moralności, obyczajów i kultury politycznej - inaczej mówiąc zupełny brak myślenia ludzkiej przynależności.

W ciągu 16 lat republiki Portugalii przeżyła 16 rewolt i 43 zmiany rządów. Demokracja parlamentarna zamieniona w karykaturę, walki stronnictw i partii często z użyciem przemocy, nieustające strajki - w tym generalne - zamachy terrorystyczne dokonywane przez prekursorów bandy Bander-Meinhofów, "Czerwony Legion", socjaliści, anarchiści, anarchosyndykalisci, komuniści - rodzin i sterowani z zewnątrz - wyruszający na bój ontalni - czyli po władzę - kryzys gospodarczy, inflacja, potężny deficyt w budżecie państwa - oto w skrócie obraz Portugalii do czasu gdy w 1926 roku na arenę polityczną wkroczyła armia. Objęcie władzy przez wojsko i późniejsza dyktatura Antoniego Oliveria Salazara była koniecznym krokiem ratującym kraj przed otwartą wojną domową, rewolucją i jak można przypuszczać "czerwoną" dyktaturą czyli zniszczeniem cywilizacji ludzkiej.

Dr Salazar używał co prawda w swej retoryce politycznej takich określeń jak "rewolucja pokojowa", "nowe państwo" jednakże jego chłoda, można by rzec rozumna, elitarna dyktatura w niczym nie przypomina dyktatury Mussoliniego czy Hitlera, mających swe oparcie w entuzjastycznie sfanatyzowanych mas. Ciekawie obcy był jej - począty do ducha lewicy - rewolucyjny milonaryzm czarnych, brunatnych - i rzecz jasna czerwonych - jakobinów marzących o "nowym człowieku", "Tysiącletniej Rzeczy" i innych podobnych absurdach. Portugalski dyktator wyrażał się krytycznie o polityce Mussoliniego uważając, że duce schlebia ulicy. Swoją pokojową rewolucję pragnął oprzeć na "hamach wieczystych: Bóg, cnota, ojczyzna, tradycja, władza, rodzina, praca". Nacjonalizm dra Salazara był nacjonalizmem łagodnym, umiarkowanym, konserwatywnym. Nie był ani izolacjonistyczny ani agresywny. Trafna przeto wydaje się ocena jednego z polskich narodowców: *Wiele cech wspólnych mogłobyś odnaleźć z nacjonalizmem Salazara, gdyż nie to, że brak mu jest cechy ruchu masowego (jest to raczej koncepcja niewielkiej intelektualnej elity wcielona w życie z nakazu rzędu) oraz, że specyficzne właściwości narodu portugalskiego (naród mały, obciążony zwycięstwem swoich stosunków handlowych i morskich, oraz swego imperium kolonialnego, całą kule ziemską nadająca jego nacjonalizmowi rys o wiele bardziej uniwersalistyczny niż nacjonalizm w ścisłym tego słowa znaczeniu.)*

Agresywny lub izolacjonistyczny nacjonalizm nie pasował, by tak rzec, do łagodnego, ciepłego klimatu, do otwartości tego najbardziej atlantyckiego kraju kontynentalnej Europy. W żadnej z wypowiedzi dra Salazara nie znajdziemy jednego słowa przeciw innym narodom, żadnego antysemityzmu, żadnej pogardy dla ludzi innej rasy. I nie może to dziwić u człowieka który wyznaje: *Pomijając wartość wszechstronną prawdy religijnej, z indywidualnego punktu widzenia nie ulega wątpliwości, że odczuwamy brak absolutu. Wiara, religia, zasady chrześcijańskiej cywilizacji, wierność Kościołowi katolickiemu tworzą zapórę przed faszystowskim totalizmem.*

Należał dr Salazar do chrześcijańskiej prawicy - w przeciwieństwie zapewne do JT - i można go nazwać konserwatywnym narodowcem. Nie był faszystą, jak utrzymuje partyjna propaganda i jak najwyraźniej sądzi JT. Zasady chrześcijańskiej moralności politycznej każą Salazarowi stwierdzić, że Portugalia nie ukształtowała swego ustroju na wzór tej pogodniejszej i

anty-humanitarnej koncepcji ubóstwienia rasy albo państwa. Jakiś faszystowski polityk czy ideolog wygłosiłby taką opinię: Państwo, które podporządkowuje ideałowi narodu czy rasy wszystkie elementy, zasady i postulaty w dziedzinie moralności, prawa, polityki czy ekonomii przeistoczyłoby się nieuchronnie w organizm wszechpotężną i wszechobojną, której zostałyby poddane wszystkie przeżycia indywidualnego – państwo takie mogłoby zrodzić absolutny gorszy od absolutyzmu poprzedzającego ustroju liberalne (...). Państwo takie byłoby w istocie pogańskie, sprzeczne z duchem naszej cywilizacji chrześcijańskiej. W innym miejscu dr Salazar tak ocenia faszyzm: Dyktatura faszystowska ciąży ku pogańskiemu cesarzostwu, ku nowemu państwu, które nie zna granic natury prawnej czy moralnej, zmierzając do celu łamiąc wszelkie przeszkody, nie zważając żadnych skrępowań. Dyktator Portugalii nie był zwolennikiem władzy nieograniczonej, uważał, że władza nie może przechodzić do porządku dziennego nad wszystkim: nad prawami, obyczajami, przeszkodami indywidualnymi. Krytykuje Maurrasa za to, że przecenia rolę polityki. Dyktator Portugalii jest bowiem świadom niebezpieczeństwa jakim grozi upolitycznienie i totalizowanie, skostnienie i wyzucie wszystkich dziedzin życia i rozumie, że wiele procentów odrywa się w sposób naturalny i spontaniczny nie podlegając ludzkiej kontroli: życie kraju jest jednak bardziej złożone, znacznie szersze, wykracza się ono bardziej niż mogłoby to być przypuszczane, ornano władzy i jej działania. W czasach gdy kolektywizm podbił Europę i świat, nie zapominał dr Salazar o autonomii jednostki: indywidualizm nie może być bez zbiorowości – to pewno, lecz zbiorowość jest także nieczym bez indywidualizmu. Odrzuca koncepcję wychowania młodzieży a la Mussolini: Nie możemy ani nie chcemy, to jasne, nadlać w systemy wielkiego, tzn. wchłaniania przez państwo ściśle militarnej i nacjonalistycznej organizacji. Trzeba jednak przyznać, że w czasie wojny uległ sugestiom Hitlera i powołał do życia Zielone Komunisty, które jednak szybko spędył do roli organizacji akautowskiej.

Zdaniem Grabskiego, tłumacza Rewolucji pokojowej pisał we wstępie do tej książki: Siła na której opierał się dr Salazar tkwiła w nim samą a wyrastała z mocy niezmienniczej – z winy w Boga. (...) Wierząc w oporność, pełną szacunku dla człowieka przeprowadzał reformy gospodarcze, polityczne i społeczne. Czyż dla katolickiego pisma społeczno-kulturalnego jakim jest Tygodnik Powszechny bardziej właściwa od powiedów JT nie byłaby opinia brytyjskiego historyka: Próba coup d'état generała Franco podobnie jak generała Carnona w Portugalii o dziesięć lat wcześniej, była konserwatywnym przymiarem. Carnona powierzył władzę polityczną z własnym ekonomistom dr Salazarowi, który wprowadził sprawę merkantylizmu dyktaturę, nie mając w sobie nic z "faszyzmu". Franco rzucił w Hiszpanii jako reżym konserwatywny monarchii, podobnie jak Rorty w Węgrzech. Zarówno Franco jak i Salazar byli – w różnym stopniu – sprzymierzeńcami Kościoła katolickiego. Ich czas był korporacyjny, ich filozofia – filozofia Leona XIII.

Przykre to jest, że w powyższym piśmie powadny publicysta nie chce zaprzeczać narażoną miarę zasług na miarę reakcjonisty upowszechniania przytykane stereotypy wobec z notabla lektora partyjnego, przyczyniając się tym samym do obniżenia i tak już wystarczająco niskiego poziomu kultury politycznej Polaków. Po co zwracać sobie głowę bardziej subtelny rozróżnieniami, jakże sens mają porównania i półtony, po co wysiłek dążenia do precyzji jeśli można sięgnąć do arsenatu wyartych sloganów zmierzających do wysilenia. Dla propagandy lewicowych postępowców na pewno wystarczy.

JT zacytował swój komentarz "Znaki czasu". Niechaj więc i moi tekst będzie znakiem czasu, czasu końca totalitarnej mentalności naszyjki do tego, że ocenia się nie on, ale kto i gdzie napisał.

Na zakończenie całkiem już osobista refleksja. Gdyby miał odpowiedzieć na pytanie, czy ustawa dyktatury Salazara za konieczność i za dobrodziejstwo dla ówczesnej Portugalii, odpowiedział bez wahania – tak! Ale... ubolewano nad jednym. Z minowatostw tym, że na niebezpieczeństwo dla tego pięknego kraju, prawdziwie był słowno króla Karola II: "Portugalia to monarchia bez monarchistów". Gdyby było inaczej, kto wie...?

PS.

Niedoinformowana przypomina, że dla dra Salazara przyjaźń i dobre stosunki ze Zjednoczonym Królestwem były niezmienna zasada polityki zagranicznej, i że ten "faszysta" w czasie drugiej wojny światowej zniósł neutralność Portugalii – udostępniając... aliantom Azory jako bazy wojakowe.

M. R.

WARTO PRZECZYTAĆ

Oliveira Salazar: "Rewolucja pokojowa", przekład autoryzowany z francuskiego z przedmową Zdzisława Grabskiego, Warszawa 1939.

Antonio Ferrero: "Dyktator współczesnej Portugalii", przełożył dr Edward Soye, Warszawa 1939.

§) Hugh R. Trevor-Roper: "Zjawisko Faszyzmu. w: Faszyzm europejski (1922-1945), Warszawa 1979.

UWAGI dra SALAZARA O GOSPODARCE

Lepiej jest gdy gospodarka sama sobą kieruje, niż gdy kieruje nią państwo.

Dotyczy do wolnego obrotu kapitałów publicznych i prywatnych.

Przedewszystkiem trzeba podkreślić, że uważam za błędną nowoczesną tendencję do rozszerzania granic interwencji państwa.

... bankructwo polityki ogromnych wydatków publicznych, polityki państwa producenta, które ma ambicję robić wszystko.

Ten socjalizm państwowy, ten socjalizm o którym prawią różni kłamodzieje zachwalając go jako ustrój postępowy, jest - mówiąc prawdę - idealnym systemem schłabiactwa wrodzonemu wszystkim ludziom pragnieniu wygody i biurokratyzmowi. Najspokojniej, najpewniej, najwygodniej żyje się na żołdzie państwowym, pobierając na początku każdego miesiąca swoją pensję i mając pod koniec życia zapewnioną emeryturę, której nie grozi żadna ruina ani bankructwo.

Jestem uświadomiony wrogo w stosunku do rozwoju działalności ekonomicznej państwa w tych dziedzinach, gdzie inicjatywę prywatną okazała się wystarczającą.

Państwo wierzy w skuteczność konkurencji i pragnie ją zachować, dąży do tego by inicjatywa prywatna mogła się swobodnie rozwijać w każdej dziedzinie wytwórczości, powstrzymuje się przede od kierowania korporacjami i zachowuje dla siebie jedynie prawo - które uważa za swój obowiązek - czuwania nad odpowiednią stosownością ustaw i ochroną interesów zbiorowości. Dalej posunięty interwencjonizm uważa za niepotrzebne utrudnienie zadań rządu oraz za szkoderne życiu społecznemu.

Kraj nasz zajmuje jednak miejsce wśród tych (krajów), których protekcjonizm jest najbardziej usiłowany.

Uważamy za ciężki błąd kadzierny protekcjonizm, który rozwija się niestety coraz bardziej w świecie i który niszczy do gruntu warunki naturalne egzystencji narodów i zniszcza, ze szkoda dla ludzkości odrębny charakter poszczególnych gospodarek narodowych.

W tych trudnych czasach bronimy się z całych sił przeciw ograniczeniom dewizowym, zbyt wysokim taryfom celnym, kontyngentom i stanowią w ten sposób - wraz z kilkoma innymi krajami - jedną z nielicznych wyspisk liberalizmu gospodarczego, gdzie utrzymuje się jeszcze swoboda importu, eksportu i obrotu dewizowego.

Posunęto się nawet do pogaci prawa zatrudnienia robotników cudzoziemców, prawo, które zdawało się być niezarazalnym osiągnięciem ekonomii i zdobywcą humanitaryzmu.

Przez interwencjonizm państwa wywołowało inicjatywę prywatną, obciążało się elementem urzędniczym, nadmierne zwiększyło wydatki i podatki, zmniejszało produkcję, zmniejszało wielkie bogactwo osób prywatnych ograniczając wolność osobistą, stając się w ten sposób groźnym wrogiem narodu.

Mówę najbardziej oczywisty naukow, płynący z wielokrotnych doświadczeń, wielu ludzi, sądzą, że państwo powinno rozszerzyć zakres swych funkcji gospodarczych organizując produkcję łącznie z podziałem bogactw.

Organizacja produkcji i podziału bogactw przez państwo to niebezpieczeństwo dla niezawisłości władzy, dla sprawności i równości obywateli oraz dla interesu ogółu.

KOMENTARZ REDAKCJI

P. Murray Rojaski przedstawił w swym artykule świetlaną przeszłość pod rządami dr Salazara. Pragniemy przede wszystkim zwrócić uwagę PT Czytelników na niektóre ciemne strony tychże rządów, o których p. Rojaski celowo albo z niewiedzy nie napisał. Niewątpliwie przytoczonym w artykule uwagom dra Salazara na tematy gospodarcze przykładać może każdy liberal. Ich trafność jest tym bardziej godna poświadczenia, że formułowane były w czasach, kiedy duch ówczesnych pjakistów i amerykańskiego New Dealu "obżył" gospodarkę światową. P. M. Rojaski zapomniał jednak napisać, że dr Salazar choć pokonał republikańską lewicę, pod wieloma względami kontynuował jej politykę i realizował jej postulat.

Starał się np. zlikwidować bezrobocie poprzez roboty publiczne i ... Komisariat Bezrobocia. W jednym z przemówień stwierdził jak rasowy socjalista: Klasa robotnicza zasługuje na naszą opiekę. I opisał się wprowadzając Kartę

Pracy, budując domy ludowe i mieszkania robotnicze itd. Zbyt słabo zmierzali do Salazara państwowy interwencjonizm, nie postrzegali wzrostu biurokracji, lansowali korporacjonizm i umowy zbiorowe, jeśli nie zniechęcili to w każdym razie znacznie osłabił wolny rynek pracy.

P. Maurycy zbytnio się chyba przejął opinią wyrażoną przez francuskiego neoliberala L. Baudina: W Europie neoliberalizm panuje w Portugalii w postaci umiarkowanego indywidualizmu, który zapewnia prymat duchowości, asansek dla autonomii jednostek, ochronę rodziny. Gdyby opinia L. Baudina była prawdziwa to jak wyjaśnić zwycięstwo socjaletatyzmu w 1976 roku. Po imo, rewolucji świetności znacjonalizowano znaczną część przemysłu ciężkiego, stoczniowego, petrochemicznego, wydobywczego i transportu, skolektywizowano znaczny procent wielkiej własności ziemskiej. Wprowadzono płacę minimalną i różne sankcje. Portugalczycy z zapałem jeli rozbudowywać biurokrację państwową, partyjną, samorządową i związkową. Wniosek z tego, że duch liberalny nie był w Portugalii - wbrew temu co sądzą pp. Baudin i Rojaki - zbyt silny. I jest to zapewne w znacznej mierze zasługa Antoniego Olivera Salazara.

GIELDA :

PROPOZYCJA DLA GEN-SEKA

Prasa doniosła, że Organizacji Narodów Zjednoczonych zagraża kryzys finansowy spowodowany deficytem budżetowym. Jak odwindcyli gen-sek Organizacji Kamery Perez de Cuellar jej dezintegracja finansowa może sprawić, iż podzielili ona los Ligi Narodów. Jeden z naszych redakcyjnych kolegów wpadł na pomysł, aby napisać przemówienie dla gen-seka Cuellara dotyczące trudnej sytuacji Organizacji. Oto ono:

Szanowni zebrani, obywatele i obywatelki, towarzysze i towarzyszyki, koleżanki i koleżanki, panie i panowie! W imieniu naszej Organizacji chciałbym serdecznie powitać Was na nadzwyczajnym spotkaniu przedstawicieli organizacji międzynarodowych z całego świata. Szczególnie serdecznie witam reprezentantów bratnich organizacji, z którymi łączą nas braterskie stosunki wykowane od lat w wspólnej walce o pokój, postęp społeczny i rozwój ekonomiczny ludzkości: Międzynarodowej Organizacji Pracy, Międzynarodowego Funduszu Wzrostowego, Międzynarodowego Banku Odbudowy i Rozwoju, Światowej Organizacji Zdrowia, Międzynarodowej Korporacji Finansowej, Międzynarodowego Stowarzyszenia Rozwoju, Witam serdecznie przedstawicieli Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej 4), Ligi Arabskiej, Organizacji Państw Amerykańskich, Organizacji Jedności Afrykańskiej, Światowej Organizacji Pracy, Międzynarodowej Konferencji Związków Zawodowych, Światowej Federacji Związków Zawodowych, Światowej Rady Pokoju, Światowej Demokratycznej Federacji Kobiet, Międzynarodowego Związku Studentów, Międzynarodowej Socjalistycznej Kominternu, o przepraszam, to zdaje się już nieaktualne, Parlamentu Zachodnioeuropejskiego, Amantii Międzynarodowej, Organizacji Państw Eksportujących Kamy.

Zebrał się dzisiaj, aby omówić trudną sytuację w jakiej znalazła się Organizacja Narodów Zjednoczonych, sytuację mogącą w przyszłości wpłynąć niekorzystnie na działalność innych organizacji międzynarodowych, a tym samym zwiększyć niebezpieczeństwo wojny, zagrożić postępowi społecznemu i rozwojowi ekonomicznemu ludzkości. Jak powszechnie wiadomo, nasza Organizacja od z góry 40 lat, pokonując przeciżne się przed nią trudności, stara się zbudować podwaliny pod trwały pokój pomiędzy narodami, postęp społeczny i gospodarczy. Wbrew temu co twierdzą siły wrogie naszej Organizacji wiadnie ona jest: sila budująca w świecie więzi pokoju i przyjacielskiej współpracy między narodami, przepisła te stosunki humanizmem i obywateli drogi do wspólnego, powszechnego rozwiązywania problemów stojących przed całą ludzkością. Oczywiście były błędy, przyznajemy to samokrytycznie, ale generalna linia naszej organizacji okazała się słuszna. Siły wrogie naszej Organizacji twierdzą, że jej działalność nie zapobiegła rozszerzeniu się strefy głodu w Afryce. Tym pozbawionym jakichkolwiek rzeczowych podstaw zarzutom należy dać zdecydowany odpór. Nasza Organizacja z wielką troską i zaangażowaniem podchodzi do tego trudnego problemu. Sprawom Afryki poświęcono setki narad, konferencji, zjazdów i posiedzeń, powołaliśmy liczne komisje i podkomisje, których zadaniem było poszukiwanie nowych rozwiązań i wypracowanie najskuteczniejszych metod w celu koordynacji wysiłków podejmowanych przez naszą Organizację na rzecz ludności Afryki. Ekspertzi naszej Organizacji opracowali setki programów, projektów, planów, prognoz długo- i krótkoterminowych, ekspertyz i sprawozdań. Bezustannie doskonalimy naszą działalność zrówno teoretyczną jak i organizatorską. Sytuacja w Afryce znana jest nam bardzo dobrze z dokładnych raportów opracowanych na zlecenie naszej Organizacji. Nie możemy

*) Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej - także to składowa do rzeczywistości nazwa - przyp. red.

zaniechanoć oskarżeń, które dotyczą wielu pracowników wyspecjalizowanych agend naszej Organizacji, niezwykłe ofiarnie pracujących na rzecz dalekosiężnych celów, które stawia przed sobą nasza Organizacja i w pełni oddanych sprawie pokoju, postępu społecznego i ekonomicznego ludzkości.

Silny niechęć naszej Organizacji starała się uwidoczniać światowej, że nie zapobiegłaby wojnom i konfliktom zbrojnym w wielu częściach naszego globu. To prawda, ale nikt nie chce pamiętać o tych wojnach, które nie wybuchły właśnie dzięki działalności naszej Organizacji. A było ich przecież o wiele więcej niż tych, które wybuchły. Gdyby nasza Organizacja mogła zwiększyć liczbę pracowników, rozbudować swoje agendy, gdybyśmy w każdej stolicy mogli mieć swoje biura i dobre warunki do pracy, pokój na świecie stałby się czymś całkiem normalnym.

Krytykom naszej Organizacji odpowiadamy: Jesteśmy świadomi błędów, które popełniliśmy. Ale pewne niekorzystne sędziwa, które nie ośmieliły, bo omiatać nie mogli naszej Organizacji, spowodowane są niekorzystnymi sędziwami występującymi ciągle jeszcze w naszej międzynarodowej współpracy. Bierze się to stąd, że nasza Organizacja nie jest odzwierciedleniem rzeczywistości, od życia milionów myśliwych ludzi na całym świecie nie wręcz przeciwnie jest z nimi nierozdzielnie związana. A przecież problemy z jakimi borykamy się nie stają się łatwiejsze. Jesteśmy pełni niepokojów, czy podobały wszystkim trudności w sytuacji, gdy budżet naszej Organizacji w wyniku pochopnych, wynikających z uprzedzeń, decyzji niektórych państw został znacząco uszczuplony.

Inne państwa bardzo opieszale płać składki członkowskie lub wręcz od wielu lat zalegały z ich zapłatami. To prawda, że wydatki naszej Organizacji były zawsze większe niż przychody. Brak jednak sytuacji stała się naprawdę dramatyczna. Stoiły w obliczu decyzji niezwykłe bolesnych dla naszej Organizacji, grozących dla jej przyszłości a tym samym dla pokojowej przyszłości świata, decyzji mogących przynieść niepowetowane szkody sprawie pokoju, postępu społecznego i gospodarczego ludzkości. Mniejszą niż dotychczas budżet naszej Organizacji zmusza nas do redukcji etatów i obniżenia pensji naszych pracowników, do ograniczenia liczby konferencji i kongresów, stanowiących jukie istotny składnik naszej działalności.

Dlatego wzywamy wszystkie państwa członkowskie do regularnego płacenia składek i w miarę możliwości do ich podwyższenia. Nasz budżet jest nie tylko naszą sprawą, jest wspólną sprawą wszystkich ludzi dobrej woli na całym świecie, wszystkich tych, którym droga jest sprawa pokoju, postępu społecznego i ekonomicznego ludzkości.

Zwracamy się o pomoc i poparcie dla naszej Organizacji do wszystkich organizacji międzynarodowych na świecie, których cele zbieżne są do naszych celów. Pamiętajcie, że i wy możecie znaleźć się w równie trudnej sytuacji. Dlatego wzywamy Pracownicy wszystkich organizacji międzynarodowych łączyć się! Sądzimy, że pod egidą naszej Organizacji może powstać Ogólnosięciowa Federacja Organizacji Międzynarodowych.

Apelujemy również do Towarzystw Przyjaciół ONZ na całym świecie o wzmożenie wysiłków mających na celu popularyzowanie dorobku naszej Organizacji, obronę jej dobrego imienia, zmierzanie niekorzystnego klimatu jaki starają się wytworzyć wokół niej przeciwnicy pokoju między narodami, postępu społecznego i ekonomicznego ludzkości.

Niech żyje nasza Organizacja! Niech żyją bratnie Organizacje!

Nieśmiała propozycja

W drugim tegorocznym numerze Nowych Drog odbyła się dyskusja redakcyjna na temat uwarunkowań polskiej rewolucji. W dyskusji zabrał głos p. Stanisław Wroński, który wyliczył rozmaite czynniki opóźniające "budowę" socjalizmu w Polsce. Jednym z tych czynników jest według p. Wrońskiego niedorównyż cywilizacji mieszczańsko-kapitalistycznej, która gdzieś indziej przez wieki surowo wznosiła obowiązki i dyscyplinę w pracy, rzetelność kupiecką i rzemieślniczą, wyznaczała pracowitość, zaradność, skrzętność, ciutanie pośmięte do skąpstwa w życiu codziennym aż stało się nawykami, naturą milionów ludzi. Tęgo nam brakowało. W strukturze społecznej narodu brakowało rozwiniętego stanu polskich manufaktur, porządek rozwiniętego rzemiosła. Wszystko to prawda. Jeśli zatem przyznajemy kłopotów z budową socjalizmu w Polsce jest brak w przesłanki kapitalizmu, to chciałbym p. Wrońskiemu, jego przyjaciółom, kolegom i znajomym podsunąć nieśmiało propozycję, która ich dalekosiężne plany pomoże urzeczywistnić. Trzeba po prostu zacząć wszystko od początku. Niech p. Wroński i jego koledzy pomyślą Polaków przez najbliższe, powiedzmy 20 czy 50 lat - ile, to rzecz do ustalenia - zbliżać choćby zgrabie cywilizacji mieszczańsko-kapitalistycznej wraz ze wszystkimi jej dobroczynnymi skutkami w postać podniesienia etyki pracy itd. Potem p. Wroński i jego koledzy będą mogli przystąpić do "budowy" socjalizmu tym razem już na pewno uświęconej ostatecznym sukcesem.

PRZEZ KAPITALIZM DO SOCJALIZMU! - oto hasło na nowy etap.

ANTYKWARIAT KOLIBRA

Tadeusz Bernadzikiewicz

Przerosty etatyzmu

[Rokrocznie Państwo Polskie przejmując w tej czy innej formie prywatne przedsiębiorstwa (np. spółki akcyjne: Azot, Orbis, Ursus, Skoda, Kieleckie Towarzystwo Akcyjne Nawozów Sztucznych, ostatnio Wspólnota Interesów i in.), nabywa udziały w przedsiębiorstwach prywatnych (por. np. udziały w Hucie Pokój, w Banku Spółek Zarobkowych, we Francusko-Polskim Towarzystwie Kolejowym, dalej - dokonywany stałe skup akcji kolei prywatnych itp.), zwiększa udziały już posiadane (por. Boruta, Grodzisk, Polskie Radio i in.), zakłada własne, nowe przedsiębiorstwa (np. Polska Agencja Eksportu Drewna, w skr. "Paged" i in.) oraz rozszerza działalność przedsiębiorstw już istniejących (np. uruchomiony niedawno dział komunikacji autobusowej przy P.K.P., fabryki akrydów w Lesach Państwowych itp.).

Ponieważ wspomniana tendencja w kierunku zwiększania rozmiarów gospodarki państwowej przedstawiła u nas czynnik stały, trudno się dziwić, iż wywołuje ona w polskim życiu gospodarczym niemiłe zaniepokojenie. Zaniepokojenie to jest tym bardziej zrozumiałe, iż od szeregu już lat nasza gospodarka państwowa przekroczyła w niektórych kierunkach te rozmiary, jakie z uwagi na specjalne położenie Państwa Polskiego mogły się wydawać uzasadnione.

Oczywiście, należy unikać w tym kierunku przesady. Istnieje szereg działań bezpośredniej działalności gospodarczej naszego Państwa, które nie wywołują dzisiaj żadnych istotnych zastrzeżeń, jeśli chodzi o ich samą rację bytu jako przedsiębiorstw państwowych. Należy tu wymienić koleje państwowe, pocztę, telegraf i telefon, lasy, przedsiębiorstwa wojakowe itp. Z drugiej strony spotykamy jednak takie wypadki finansowego zaangażowania się państwa, które budzić muszą zasadniczą wątpliwość. Dalej widzimy przedsiębiorstwa państwowe, których działalność została rozszerzona w sposób nadmierny. Objęła ona również takie działy produkcji, w których działalność państw-przedsiębiorcy nie znajduje uzasadnienia z punktu widzenia interesów całości gospodarczej. Wreszcie w niektórych gałęziach produkcji możemy znanotować istnienie przedsiębiorstw państwowych w liczbie nadmiernej (...). Przytoczmy tu kilka bardziej charakterystycznych przykładów. Jeśli chodzi o ocenę gospodarki przemysłowej Administracji Lasów Państwowych, największe znaczenie posiada rozwój tartactwa. Naszym zdaniem liczba tartaków państwowych jest nadmierna i nie znajduje uzasadnienia z punktu widzenia całości gospodarczej. Trudno przytoczyć jakiegoś rozsądnego ogólnogospodarczego czy społeczno-politycznego, które by zmuszały państwo do prowadzenia większej liczby własnych tartaków, skoro istnieją dostateczna ilość tartaków prywatnych (...). Program wytknięty w r. 1929 przez Naczelnego Dyrektora Lasów Państwowych, p. Adama Loreta, w artykule p. t. "Główny wytyczny państwowego gospodarstwa leśnego", w którym rzucił on hasło przerobu całego surowca z lasów państwowych na własnych tartakach - tartaki państwowe, pracując w uprzywilejowanych warunkach, przyniosły wg danych oficjalnych ok. 2,6 mln zł., a w okresie 1932-33, po poddaniu wyników oficjalnych pełnej korekcie, ok. 5,6 mln zł. straty, przy bezprocentowym zaangażowaniu w produkcję ok. 25 mln zł. w postaci surowca i środków płynnych (sprawozdanie K.P. 1933-34, część ogólna, str. 62). W rezultacie bilans sekcji Lasów Państwowych, zapowiedzianej w artykule p. Loreta, znalazł następującą ocenę w świetle badań Najwyższej Izby Kontroli: "Przerób we własnym zarządzie - czytamy - drewna użytkowego na materiały opłomne, ciosane i tarte, mający na celu ułatwienie zbytu pozyskanego surowca, oraz przyuczenie się do podniesienia wyników finansowych jego realizacji, zadań tych nie spełnił, wykazał bowiem znaczne straty przy bezprocentowym zaangażowaniu w produkcję około 28 mln zł. w postaci inwestycji" (Dziennik K.P. 1932-33, str. 457). Łącznie więc ok. 60 mln zł. zostało w tym czasie, tj. do roku 1933, zaінwestowanych niewłaściwie.

Mimo to sformułowany w r. 1929 program pozostał oczywiście nadal aktualny, a nad zalecaną przez K.I.K.P. "stopniową likwidację tartaków prowadzonych we własnej administracji" - przeszło się łatwo do porządku dziennego (...).

Dodatkowo charakterystyczną jest również historia Państwowych Przetwórnicy Mięsnych w Białym i Chodorowie. Powołanie do życia tych przetwórców było w sensie czynie reklamowane dość szeroko, jako wyraz chwałobójczy, pionierskiej działalności przedsiębiorcy. Niestety, gospodarstwa tych przedsiębiorstw nie okazała się aniżeli. I tak, przetwórnia w Białym miała w roku gospodarczym 1930-31, koniunkturę na rynku angielskim - stratę operacyjną w wysokości 7.509,19 zł. (od obrotu administracji: 407.791,62 zł.). W okresie od 1 IV do 1 XII 1931 r. już tak zniszczenia się konte angielskiego, koniunktura na boku uległa znacząco poprawie. Ministerstwo Rolnictwa zmierzało wydzierżawić obie przetwórnie, a to celem uniknięcia dalszych strat. Jednakże przeprowadzone w tej sprawie pertraktacje ze spółką akcyjną "Pecum" nie dały pozytywnych rezultatów. Ostatecznie Ministerstwo z dnia 1 IV 1931 r. powierzyło Bankowi Rolnemu prowadzenie przetwórców 100 tys. zł. rocznie. Jednocześnie Bank Rolny zobowiązał się zorganizować przetwórcę w Białym i Chodorowie na dłuższy okres czasu (...). O ile wiemy, przynosi wiadomości, iż: produkcja przetwórci uległa dalszej redukcji i wynosiła zaledwie ok. 15% ogólnej zdolności przetwórczej, w związku z tym koszty samej produkcji, a zwłaszcza wydatki ogólnoadministracyjne, znacznie wzrosły. W świetle naturalne posunięcia polityki gospodarczej państwa.

W kilku słowach wspomnieć również należy o szeregu nadmiernych inwestycji dokonanych w przedsiębiorstwach państwowych. Jako przykład służyć mogą inwestycje przeprowadzone w Państwowej Kopalni Węgla "Brzeszcze".

Wiadomo, iż nie tylko górnictwo polskie, ale i górnictwo europejskie przedyskryzys światowy o wiele cięższe, niż większość innych gałęzi przemysłu. (...) Władze stały niemal spadek wydobywa. Spadek ten w Polsce w r. 1935 wynosił 38,2% w stosunku do poziomu z r. 1929. Na tle powyższej sytuacji dość daleko - wygląda decyzja państwa o podjęciu budowy nowego szybu w Jasowicach, celem powiększenia wydobywania przez "Brzeszcze" do kwoty 1,5 mln ton (obecna wydajność szybu "Anrozpęd" statystyki. Roboty ukończono w okresie gospodarczym 1933-34 (...). W ten sposób Państwo Polskie stanęło wobec nowego kłopotu: jak zapewnić kopalni w Jasowicach możliwość produkcji i zbytu? Zdaniem referenta preliżarza budżetowego Ministerstwa Przemysłu i Handlu na rok 1935-36, posła dr. Fr. Czernichowskiego, jest to "zagadnienie o zasadniczym znaczeniu". Nawet rządowy arbitraż nie mógł urogo nadmierne, i jako wyobrażała się w państwowym przedsiębiorstwie na skutek wycenienia zryw w Jasowicach, wybudowany kosztem 14,4 mln zł., za wiedzą i aprobatą wszystkich czynników mianowanych, nie został uruchomiony, a wydatkowane na budowę ok. 15 mln zł. nie procentują, na domiar obciążają przedsiębiorstwo dodatkowe wydatki ok. 100 tys. zł. rocznie na konserwację...

Na szczególną uwagę zasługują jednak przerzuty statystyki w zakresie działalności takich przedsiębiorstw państwowych, których istnienie nie tylko nie może budzić wątpliwości, ale - przeciwnie - uważane jest za konieczność państwową. Nowy tu na wyśi przede wszystkim wojakowe przedsiębiorstwo skomercjalizowane. Niektóre z nich "celem pełniejszego wykorzystania istniejących wytwórni, obok produkcji zasadniczej podjęły wytwarzanie na rynek prywatny szeregu artykułów pomocniczych. Tak więc Państwowe Wytwórnie Uzbrojenia produkowały, względnie jeździły: rowery, kłódki, narzędzia do pisania, meble biurowe i inne wyroby stolarskie, maszyny tytoniowe, narzędzia itd. Państwowe Zakłady Lotnicze - obrotowe do rowerów, błotniki rowerowe itp. Państwowe Wytwórnie Prochu - podobno nawet palanki na wyspy, szachotki do zegarów, łyżwy itd.

Bruchowanie tych wszystkich działów produkcji uzasadnienie było potrzebą możliwości pełnego wykorzystania zdolności wytwórczej przedsiębiorstw. Ściśle prywatno-gospodarczy punkt widzenia, jaki w ten sposób dochodził do głosu, znajdował wyraz w zamiarze dyrekcji przedsiębiorstw wypracowania drogi na rynek prywatny bądź to dodatkowego zysku, bądź też częściowego lub zupełnego wyrównania strat na produkcji zasadniczej. W obu wypadkach znaczenie decydujące miało przedświadczenie kierownictwa, iż podejmowane działalności jest i musi być rentowna.

Konieczność powyższa, jak już wiemy, w przypadku przedsiębiorstwa państwowego nie jest jednak wystarczająca, przeciwnie - namuszenie nie może być wątpliwości. Punkt widzenia finansowy, moment zysku, nie posiada bowiem i nie może posiadać w przedsiębiorstwach państwowych podobnego znaczenia, jak w odniesieniu do przedsiębiorstw prywatnych. Po wtóre konkurencja państwowych i prywatnych obiektów gospodarczych rzadko kiedy odbywa się w równych warunkach. Z tych też względów rozszerzenie działalności państwowych jednostek produkcyjnych poza granice uzasadnione z punktu widzenia całoci gospodarczej, wobec której silnieć muszą

interesy partykularne, jest na ogół rzeczka szkodliwa i niebezpieczna. A przecież taki właśnie obrót przyjmuje sprawa, gdy państwowo przedsiębiorstwo uruchamia produkcję kłodek, narzędzi, obręczy rowerowych itp.

W zakresie polskich wytwórni wojakowych sytuacja przedstawia się o tyle jeszcze osobliwiej, iż produkcja tych przedsiębiorstw na rynek prywatny nie tylko że wykazuje poważne niedomagania, ale jeszcze... przynosi bezpośrednie straty!

W Długach N.I.K.P. o wykonaniu budżetu za r.1932-33 czytamy, iż produkcja Państwowych Wytwórni Uzbrojenia na rynek prywatny kształtowała się w roku sprawozdawczym "niezbyt pomyślnie". Sprzedaż rowerów przyniosła faktyczną stratę (...). Konstrukcja typu kłodek, których produkcję rozpoczęto, okazała się na razie wadliwa, a ich koszt własny był bardzo wysoki (...). Konstrukcja niebezpiecznych kłodek została ulepszona, jednakże produkcja ich okazała się znowu... deficytową! Niepomyślne rezultaty przyniósł również dział maszyn do pisania. W okresie sprawozdawczym wyprodukowano ich 20 sztuk, przeważnie z części doprowadzanych z zagranicy, sprzedano zaś imponującą liczbę... 12 szt. po cenie o 14,2% niższej od kosztów własnych. Natomiast znaczny zysk przyniosła przedsiębierstwo dostawa maszyn tytoniowych dla Monopola Tytoniowego, czemu nie należy się jednak zbyt wiele dziwić z uwagi właśnie na... charakter tej ostatniej instytucji (przedsiębiorstwo państwowe!).

Kto wie jednak, czy właśnie temu nie należy zawdzięczać, iż w r.1932 uzyskano wynik już nieco lepszy. Oto ogólny obrót w dziale obręczy i błotników rowerowych w łącznej kwocie 8 tys.zł. przyniósł "pokośny" zysk, wyrażający się cyfrą 0,4% w stosunku do kosztu własnego (Dług N.I.K.P. 1932-33, str.361).

Na razie P.U.W. poradziły sobie w sposób równie prosty, jak i skuteczny. Oto - jak pisze Najwyższe Izba Kontroli - w przedsiębiorstwie tym "zdarzały się przypadki nadmiernych zysków na poszczególnych zamówieniach wojakowych. Zyski te jednak służyły na ogół na pokrycie strat poniesionych na innych zamówieniach wojakowych, lub też strat ponoszonych na produkcji na rynek prywatny" (Sprawozdanie K.P. 1934-35, część szczegółowa, zeszyt III, str.56).

A więc wojako zmuszone zostało przepłacać na niektóre przedmioty uzbrojenia, aby pokryć deficyty niepotrzebnej produkcji ubocznej, prowadzonej wyłącznie przez wojskowe przedsiębiorstwa akomercjalizowane.

Stoiż zatem wobec niezmiernie ciekawego zagadnienia. Działalność wytwórni wojakowych w zakresie tzw. produkcji ubocznej, nieuzasadniona względami ogólnogospodarczymi, wywiera szkodliwy wpływ na gospodarkę prywatną, dezorganizuje rynek itp. A jednocześnie ta sama produkcja narzuca na straty... gospodarkę państwową! Mimo woli nasuwa się więc pytanie: w czym właściwie interesie odbywa się ta dodatkowa działalność?

Kłód wyjaśni np. cui bono produkuje się choćby owe, przysłowiowe już chyta, "kłodki" P.W.U.?

Przytoczone wyżej przykłady nie wyczerpują, rzecz jasna, wszystkich przerosłów etatyzmu w naszym organizmie gospodarczym, ani nawet bardziej jasnych przykładów tego zjawiska. Wydaje się jednak, iż nawet ten fragmentaryczny naszkicowany stan rzeczy orientuje wcale wyraźnie w poważnych niedomaganach naszej gospodarki państwowej, rzucza właściwie światło na niebezpieczne tendencje rozwojowe, jakie się zaznaczają w jej łonie.

Bezwzględna szkodliwość tych tendencji jest stoli szczególnie oczywista, gdy działalność przedsiębiorstw państwowych, będąca wyrazem etatystycznego przerosłu, odbywa się w warunkach uprzywilejowanych w porównaniu z sytuacją analogicznych warsztatów prywatnych.

Warszawa 1936

Tadeusz Bernadzikiewicz

** (redakcja dokonała nieznacznych skrótów w tekście) **

Zapamiętaj! Wstąpi!
Księgarnia „POLEMIKA”
Rue Gay Lussac 49
Metro Luxembourg
PARYŻ 5



Ostatnio zauważamy z niepokojem, że prasa oficjalna coraz częściej przytacza z aprobatą oświadczenia rozmaitych rządów, które odrzucają bezczelny wyzysk ze strony banków domagających się zwrotu zaciągniętych pożyczek.

O S T R Z E G A M Y !

Jeśli nasz rząd również odmówi spłaty kredytów - to wezwiemy obywateli, by przestali płacić zobowiązania (pożyczki, kredyty itp) wobec rządu!

J A K K U B A B O G U

- T A K B Ó G K U B I E !